PO KONFISKACIE

ROK WYDAWNICTWA CZWARTY

Cena 50 gr.

REDAKCJA: LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

1 października 1937 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
34 NUMER PISMA

Sygnały

miesięcznik • sprawy społeczne • literatura • sztuka •

DEZYDERY SZYMKIEWICZ

NAUKA I UCZONY

Jakkolwiek sprawy nauki coraz częściej są poruszane, szeroki ogół dotychczas mało jest o nich poinformowany, zwłaszcza o tem, coby można było nazwać „atmosferą" czy „klimatem" nauki i jej pracowników. Rzeczy te mają wielkie znaczenie społeczne i warto jest, nie siląc się na wyczerpanie tematu, podać bodaj urywkowe o nim informacje. Z tem zastrzeżeniem piszę niniejszy artykuł. Obszerne i wyczerpujące wywody znajdzie czytelnik w czasopiśmie „Nauka Polska", wydawanem przez Kasę Mianowskiego (wyszedł niedawno tom 22), poświęconem specjalnie sprawom nauki. Z książek można polecić: prof. J. Tura: „Nauka i uczony" (1917) i dr. Nicolle'a, laureata Nobla: „Biologie de l'invention" (1932).

Przedewszystkiem parę słów o tytule tego artykułu, zapożyczonym od prof. Tura. Nie jest on ścisły, jakkolwiek składa się z terminów ogólnie przyjętych — należałoby właściwie powiedzieć: „wiedza i badacz". Istotny bowiem sens terminu „nauka" jest równoznaczny z „nauczaniem", co nie jest bynajmniej to samo. W niektórych językach są te trzy rzeczy ściśle rozróżniane — po francusku: *science i enseignement*, po niemiecku: *Wissenschaft i Unterricht*. Po polsku utarło się użycie wyrazu „nauka" w jednym i drugim sensie. Z drugiej strony „uczony" to jest właściwie człowiek, co dużo wie i to rzeczy niekoniecznie przez siebie wykrytych. Otóż nie każdy „uczony" jest badaczem, odkrywcą rzeczy nowych, a o takich właśnie tu chodzi. Zresztą nie każdy badacz jest erudytą. Badanie tak pochłania umysł, że trudno jest obok poszukiwania rzeczy nowych przyswajać w szerszym zakresie wiadomości nawet z dziedzin pokrewnych. Ten stan rzeczy zaznacza się coraz ostrzej z każdym rokiem wobec rozrostu literatury naukowej: z samej botaniki ukazuje się na świecie dziennie średnio 20 prac objętości 300 stron! A literatura botaniczna nie należy do najbogatszych, takich jak chemiczna.

Z powyższych wstępnych uwag wynika, że istotą omawianych kwestyj jest sprawa twórczości naukowej. Zagadnienie to jest oczywiście bliskie zagadnienia twórczości w dziedzinie sztuki. Trzeba jednak odrazu zaznaczyć zasadniczą różnicę między temi dwiema rodzajami twórczości. Najlepiej to można uwydatnić zapomocą anegdoty opowiedzianej przez Boya. Za czasów „Zielonego Balonika" w Krakowie jakiś malarz upił się i bijąc głową o podłogę wołał: „Boże, Boże, cóżeś Ty uczynił, dałeś mi talent, ale mały!" W twórczości naukowej „wielkość" talentu nie odgrywa roli tak zasadniczej. W nauce praca nawet miernie uzdolnionych ludzi może mieć duże znaczenie. Co więcej, czasem praca ludzi bardzo luźnie związanych z nauką może mieć podstawowe znaczenie: wystarczy tu wspomnieć o rzeszy obserwatorów na stacjach meteorologicznych. W badaniach naukowych bowiem wszelkiego rodzaju współpraca odgrywa bardzo ważną rolę. „L'art — c'est moi, la science — c'est nous" (sztuka — to ja, wiedza — to my) powiedział Claude Bernard.

Wiąże się to ściśle z tą podstawową cechą twórczości naukowej, że nowe zdobycze stanowią zawsze dalszy ciąg poprzednich. Nie jest bynajmniej rzeczą przypadku, że postęp nauki po mrokach średniowiecza nastąpił po bliższem zapoznaniu się z kulturą klasyczną w wieku Odrodzenia. W nauce niemożliwe są takie nagłe błyski, jak twórczość Szekspira albo Goyi, będące wprawdzie wyrazem ruchu kulturalnego danej epoki, lecz przyczynowo bezpośrednio z innemi jego przejawami niezwiązane.

Tak dochodzimy do sprawy bardzo doniosłej — do aspektu społecznego omawianego zagadnienia. Tak samo jak twórczość w dziedzinie sztuki — twórczość naukowa jest ściśle związana z warunkami życia społecznego. „La science n'a pas de patrie, les savants en ont une" (Nauka nie ma ojczyzny, uczeni ją mają) — powiedział Renan.

Związek ten ma wieloraki charakter. Przedewszystkiem — prozaicznie materjalny. Badanie naukowe musi mieć podstawy ekonomiczne. Badacz musi rozporządzać warsztatem naukowym — publikacjami, przyrządami i t. p. przedmiotami — w miarę postępu nauki coraz liczniejszemi i coraz kosztowniejszemi. Biolog bez mikroskopu, astronom bez lunety są skazani na bezczynność. Bez tych różnych gratów największy genjusz nic nie stworzy. Badacz musi nadto mieć możność podróżowania, np. botanik dla poznania flory obcych krajów, astronom dla obserwowania zaćmienia słońca i t. p. To także kosztuje. A nadewszystko badacz musi mieć środki do życia, bo praca badawcza nie daje zasadniczo żadnych zysków. Wyjątki, takie jak realizacja jakiegoś wynalazku, nic w tym stanie rzeczy nie zmieniają. Te środki materjalne w rzadkich tylko przypadkach posiada badacz sam. Ludzie bogaci zajmują się z reguły albo powiększaniem swojego majątku albo rozrywkami. Conajwyżej mogą oni odegrać rolę mecenasów. W poszczególnych przypadkach, jak to było z Carnegie'm i Rockfellerem, ma to wielkie znaczenie, ale nawet w Ameryce nie rozwiązuje kwestji — potrzeby nauki są zbyt szerokie i zadowolnić je może tylko państwo.

Stąd rodzi się zawiły splot kwestyj. Skarb każdego państwa jest tak obciążony wszelkiego rodzaju wydatkami, że otrzymanie środków na badania naukowe napotyka na wielkie trudności, jakkolwiek minęły już czasy, kiedy mówiono nieraz o nauce jako o „kwiatku na kożuchu". Trudności te nie są istotne, bo badania naukowe są najtańszą agendą państwową — parę miljonów więcej lub mniej nie gra żadnej roli w równowadze budżetowej. Trzeba tylko przekonać władze państwowe o konieczności tych wydatków. Coraz liczniejsze zastosowania wyników naukowych w przemyśle, rolnictwie, medycynie, dawno już zwróciły uwagę wszystkich na znaczenie nauki dla społeczności. Ale tego jest mało. Nie wszystko ma zastosowania praktyczne i rodzi się stąd tendencja popierania jednych gałęzi nauki kosztem innych. Tymczasem nauka stanowi jedną całość, której zwartość z biegiem czasu zaznacza się coraz silniej skutkiem coraz liczniejszych zastosowań wyników jednej nauki w innych. Nauka musi być popierana w całości. Przemawiają za tem nietylko wspomniane względy praktyczno - organizacyjne, ale nadto o wiele ważniejsze względy, należące do kategorji imponderabiljów, rządzących światem. W świadomości społecznej zaznacza się coraz wyraźniej i roztacza się coraz szerzej głód wiedzy i prawdy. Nie samym tylko chlebem żyje człowiek. Zaspokojenie tej potrzeby jest konieczne dla dalszego pomyślnego rozwoju kulturalnego społeczeństwa i państwa.

Potrąciłem tu o „wyższe", nie tak poziome strony stosunku nauki i społeczeństwa. Przejdźmy więc do nich. Otóż poza odpowiedniemi warunkami materjalnemi pomyślny bieg badań naukowych wymaga jeszcze odpowiedniej atmosfery duchowej, mianowicie wolności. Twórczość naukowa nie może być kierowana. „Spiritus flat ubi vult" (duch leci gdzie chce) mówi przysłowie. Do niego można dodać: pod przymusem nie leci wcale. Wszelkie ograniczanie wolności wpływa ujemnie na twórczość naukową, jak zresztą na każdą. Rozwój nauki w państwach „totalnych" wszelkiego autoramentu jest przeto zahamowany, nawet jeżeli, jak to jest w Sowietach, państwo jest szczodre dla nauki. Wielkie środki mają zawsze swoje znaczenie dla nauki, umożliwiając wykonanie rozległych prac, jak opracowanie wielkich flor, map geologicznych wielkich terenów i t. p. W braku jednak wolności będą to tylko prace mniejszego znaczenia, rozszerzające zakres wiedzy, ale nie powodujące jej pogłębienia. Tą drogą nie stwarza się nowych metod i nowych podstawowych idei. Te zjawiają się wprawdzie w związku z ogólnym biegiem prac naukowych, ale nie w związku bezpośrednim. Są one stwarzane przez jednostki o wyjątkowych zdolnościach, jednostki — jak to się mówi — „genjalne". To się może przejawić tylko w warunkach wolności myślenia. Ktoś może na to powiedzieć, że Kopernik i Galileusz pomimo groźby oskarżeń o herezję zrobili swoje. Ale kto może powiedzieć, ilu innych Koperników i Galileuszów nie zdołało przejawić się podówczas. I nie chodzi tu specjalnie o nacisk w kierunku pewnych tematów, w obecnych czasach już nie przyrodniczych tylko socjologicznych czy historycznych, chodzi o ogólną atmosferę wolnościową, której twórczy duch ludzki potrzebuje, jak każdy człowiek powietrza.

Trudno jest bliżej określić te rzeczy. Twórcze umysły nie pracują według żadnej ustalonej reguły. Nowe idee zjawiają się, według wyrażenia Nicolle'a, jak błyskawice. Są to rzeczy nieobliczalne, wywoływane przez działania zewnętrzne zupełnie przypadkowe. Znane jest powszechnie opowiadanie o tem, jak jabłko, które spadło na Newtona, nasunęło mu myśl o powszechnem ciążeniu. Jest to być może legenda. Ale takie rzeczy są na porządku dziennym. Nicolle w cytowanej na wstępie książce opowiada, w jakich okolicznościach wpadł na myśl o tem, że wszy roznoszą tyfus plamisty. Było to w Tunisie podczas epidemji. Rozmyślał o tem, że personel sanitarny, pracujący w mieście, zapada często na tę straszną chorobę, podczas gdy podobne wypadki są rzadkie wśród służby szpitalnej. Wracał zamyślony do szpitala i potknął się o nieprzytomnego chorego Araba, leżącego na progu. W tej właśnie chwili przyszło mu na myśl, że chorzy na mieście są zawszeni, w szpitalu zaś wymyci. Tak zrodziło się to doniosłe odkrycie, ale oczywiście chory Arab był tylko powodem a nie przyczyną.

Nieliczne tylko wiadomości posiadamy o przyczynowości takich błysków genjuszu odkrywczego. A więc tylko rasa biała jest do nich zdolna. Natomiast narodowość nie odgrywa żadnej roli. Genjusze są wśród Polaków (Kopernik), Niemców (Gauss), Żydów (Einstein), Francuzów (Pasteur), Włochów (Galileusz), Hindusów (Raman), Anglików (Darwin) i t. d. i t. d. Mieszane elementy etniczne są bardziej w tym względzie uzdolnione. Rémy de Gourmond zrobił ciekawe zestawienie pochodzenia wybitnych osobistości Francji. Okazało się, że pochodziły one głównie z okręgów nadgranicznych, podczas gdy prowincje środkowe o ludności jednolitej są uboższe w wybitne umysły. Przytem żaden regjon graniczny nie wykazał przewagi, w szczególności nie wykazała jej Normandja z jej silną infiltracją nordycką. Czysta rasa nordyczna jest tak samo stosunkowo mało zdolna, jak każda inna rasa biała niepomieszana z innemi. Tak samo było w Grecji, gdzie najczystszy szczep — dorycki — nie wniósł nic do bogatej kultury greckiej. Hitlerowskie metody, zdążające do czystości rasy, prowadzą do wyjałowienia narodu. Mogą one stworzyć tylko świetnych szeregowców, którym może zabraknąć wodzów.

Z punktu widzenia biologji są to rzeczy zrozumiałe. Krzyżowanie wywołuje pewien wstrząs, pewnego rodzaju naruszenie równowagi w organizmie. Krzyżowanie elementów zbyt różnorodnych prowadzi do wyników nieraz wprost fatalnych. Natomiast przy różnicach umiarkowanych naruszenie równowa-

MARJAN CZUCHNOWSKI

KRECIK KANDYDUJE

Fragment z powieści „Pieniądz“

Na sali upał zawiązywał się coraz tęższy, a tu nie zaczynali ani ten jucha Krecik i te dwa krety Gawron z Cielakiem, co na posłowaniu i djetach zjedli zęby. Kiedy tak rozmyślał Fąfara a inni kandydaci i cała masa delegatów też tak samo rozmyślali, spoza kurtyny rozległ się najpierw jakiś hurgot, a potem kaszel. To krzypał ten stary dziadyga Krecik, jakby rozkręcał starą sprężynę. Nagle orkiestra dęta z Niebylca rykła jakąś melodję, spoczątku nikt nie mógł nuty chwycić, ale potem okazało się, że to „Rota“. Kurtyna pospiesznie uciekała wgórę, a na niej wymalowane jakieś ptaki, zieleń lasów, gwiazdy i pół księżyca, bo widać malarzowi farby brakło, taki nikły był ten półksiężyc, a obok tego półmiesiączka uciekał z płótnem wgórę jakiś ptak ze szerokiemi skrzydłami w czarnozielone smugi, z dzióbem żółtym, w którym miał pisklę, zgniecione widać w pośpiechu porwania, bo było różowe jak gęba proboszcza z Niebylca i mizerne przytem załośnie. O tego ptaka, co stał jedną nogą na ziemi a drugą miał już w powietrzu, mało się Fąfara nie pobili ze stronnikami. Fąfara twierdzili, że to orzeł. A stronnicy dodawali, że pewnie orzeł świeżo po porodzie, ale Fąfara ich sfukał, że orły się nie rodzą, ale lęgną jak gęsięta. Wtedy Migacz się napatoczył z Pacyną, czerwoni po gębach oba i powiedział, że paw!

— Paf! Paf! — fuczał Fąfara — jakbym cię pafnął, to by cię szlag trafił — ale się zmitygował, że nie wypada i dał spokój. Orkiestra gra i ryk trąb taki, że nikogo nie można usłyszeć, a tu się chłopi o tego pawia mało nie pozabijali. Nawet Wąsacz i Czapla się wmieszali i dalejże kłócić się na całego.

— Przecie widzicie, że ma pawi ogon! — wrzeszczał uparty Migacz — taki w tęczowe koła!

— Wyście się Migacz na nowiu musiał urodzić — zjadliwie wsunął Fąfara — i mama was koziem mlekiem karmili.

Pacyna wlazł w środek chłopów i przerwał spór nieoczekiwanie.

— To *łabądź*, głupcy.

A tu wszyscy aż gęby pootwierali. Byłoby się źle skończyło może, ale na szczęście kurtyna już wylazła podgórę i zakryła ptaka, tylko mu ogona kawałek zostawiła z zielonej, żółtej i niebieskiej trawy morskiej, płonący wspaniale. Na scenie za stolikiem ukazali się wypięci Cielak, Gawron, a zboku stali Krecik i Pituła, nauczyciel upatrzony na sekretarza, jakoże bardziej piśmienny. Cała sala na ten widok wstała i chórem poczęła śpiewać „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz“, bo orkiestra tymczasem już przegrała „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród“ i rżnęła dalej jak w tartaku to samo, ale inaczej. Muzyka przestała grać, chłopi posiadali jak który miał na czem, inni postanęli i wtedy to Krecik podszedł bliżej do stolika. Cielak, Gawron i Pituła usiedli na krzesłach a długoletni prezes stronnictwa i niemniej długoletni poseł Krecik wyrzekł wtedy owe ważkie i pomięte słowa — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — których go mama jeszcze w dzieciństwie nauczyli.

Po chrząknięciu, obowiązującym we wszystkich mowach i kiedy Buras z Barcikiem zasiedli już w pierwszych rzędach ze stronnikami, zaczął swą przemowę, wzywając w niej, jako wstępnem zagajeniu, do spokoju i porządku, prosząc na sekretarza pana kierownika Pitułę a na zastępców przewodniczącego byłych posłów, kochanych naszych braci kolegów — mówił — pana kolegę i doktora Gawrona i kochanego kolegę Cielaka, wypróbowanych obrońców naszych i obywateli — zakończył.

Krecik usiadł, ale zaraz się zerwał i oświadczył, że według prawa jemu się należy przewodnictwo, bo on zwołuje zgromadzenie, ale możecie sobie wybrać innego przewodniczącego — powiedział — ale wiem, że się zgadzacie z tem, co mówię — tu znowu spadający mu na nos okular poprawił — i żeby czasu nie tracić na wybory i tym podobne głupstwa, proponuję się zgodzić na to, co jest.

— Zgadzacie się?
— Zgadzamy!
— Nie!
— Precz z Krecikiem!
— Niech żyje Krecik!
— Zgadzamy się!
— Nie!
— Precz!
— Hańba!
— Niech żyje!

Wrzawa narosła i potęgowała się coraz bardziej. Jedni byli za wyborem prezydjum zgromadzenia, inni przeciw. Krecik oglądnął się niepewnie do tyłu na panów kolegów, ci zaś patrzyli, którędyby drapnąć z tego bałaganu, ale przewodniczący błagalnie na nich spojrzał jeszcze raz, chwycił energicznie za dzwonek, kopnął w zdenerwowaniu Pitułę w kostkę, aż ten syknął, i zadzwonił. Po chwili się uciszyło i Krecik zabrał głos ponownie.

— Kto jest przeciw?
— Wszyscy!
— Nie wszyscy!
— Wszyscy!
— Nie wszyscy!
— Kto jest za?
— Wszyscy!
— Wszyscy!
— Nie wszyscy!

Krecik zadzwonił jeszcze raz, ale nie poskutkowało, więc chwycił za szklaną karafkę i uniósł ją wgórę, lśniący, biały korek wyjął i cała sala ucichła zaniepokojona i zaciekawiona, co on zrobi. Zapanował spokój. Wszyscy patrzyli w Krecika i w szklane naczynie świecące w jego ręce wzniesionej dramatycznie wgórę, a Krecik tymczasem nalał wody do szklanki, zabulgotał, wypił, otarł usta ręką i spokojnie zapytał:

— Kto przeciw?

Pacyna zerwał się z miejsca i krzyknął:

— Ja!

— Kto jeszcze? — podjął delikatnie Krecik.

Na sali zrobiło się tak cicho, że dwaj chłopi w czwartym rzędzie tkwiący, którzy pochodzili z dolnych wsi powiatu, obudzili się nagle, a rzetelnie byli usnęli ze zmęczenia i paru upalnego, i krzyknęli wraz:

— Co się stało?

I patrzyli nieprzytomnie naokoło.

Krecik myśląc, że to stronnicy Jacyny, już ze złością huknął na nich zgóry:

— Wy *tyż* przeciw?

— Broń Boże — powiedzieli machinalnie, my z dolnego powiatu — powiadają — trochę my przysnęli — ale słuchamy, słuchamy, panie pośle.

Sala, że nie wiedziała, coby to wszystko znaczyło, poczęła w swej większości krzyczeć — mówić dalej! — mówić dalej! Pacyna znowu się poderwał, ale go Fąfarowi chłopi obłapili i nie dali mu dojść do głosu. Wtedy Krecik zadzwonił jeszcze raz i spytał:

— Zgadzacie się?
— Zgadzamy!
— Zgadzamy!

Tylko Pacyna, który zdołał się wyrwać spod cięższych gospodarzy, co go przysiedli, krzyknął:

— Protestuję!

Ale więcej już nie dał rady krzyknąć, bo go stylu któryś lagą przez łeb przewalił a sprzodu mu drugi poprawił.

I tak Krecik zatwierdzony przez salę w swym urzędzie, a nikt nie wiedział nawet, kiedy go wybrał i jak się to stało, podziękował grzecznie za ogólne zaufanie i wybór, łypnął okularem na Gawrona, na sali zapanowało ogólne zdziwienie, jak to? Ludzie myśleli, że to będzie wybór, a ten dziękuje, ale nikt nie zamącił spokoju a tylko czekali wszyscy, co będzie dalej. Wówczas nieoczekiwanie Krecik zlecił przewodnictwo posłowi Gawronowi, który usiadł na jego miejscu, a sam poprosił o głos.

Gawron wartko zagaił, a słowa lały mu się potokiem i w pełnem namaszczenia zakończeniu udzielił głosu Krecikowi.

— Obywatele! Głos ma znany i wypróbowany szermierz chłopski, nasz kochany i szanowany powszechnie poseł obywatel Krecik, który w krótkim, zwartym referacie da wam obraz światowej i wewnętrznej polityki i zarazem przedstawi zarys prac naszego stronnictwa na przyszłość w sejmie i zapozna was z owocami naszej opozycyjnej polityki wobec rządu, którą uparcie prowadzić będziemy do końca, ku pożytkowi i chwale ludowej.

Poseł skończył, chłopi przełknęli ostatnie zdania, zwięźle sformułowane, jak indyk owsianą kluskę, wytężyli słuch i czekali na przedstawienie owoców światowej polityki i wewnętrznej, żeby z niej było dobrze narodowi, z ust posła Krecika.

Krecik jak Krecik, wypróbowany szermierz, stanął twarzą do narodu, obciągnął marynarczynę, wiotko zwisającą z ramiączek, wąsa nie podkręcił, bo wąsy golił po amerykańsku, okular zdjął, bo mu przeszkadzał w mowie, wsadził do zniszczonego futerału, włożył go do kieszeni, poprawił oko, bo miał trochę zeza, palcami ujmując obie powieki, potem poprawił drugie oko, zezujące na pierwsze, też ująwszy palcami powieki, błysnął zaczerwienionemi gałkami, bo oczy miał, prawdę powiedziawszy, i słabe i trochę kaprawe. Był nadziw wątłej i cherlawej postawy i miał zniszczony wygląd, nosił się źle, za kołnierz nie lubił wylać, a majątku na tem posłowaniu nie zrobił, a tylko gospodarkę zniszczył i z niej grubo dołożył. Ale kochał sławę i ambitny był i narodu chciał bronić koniecznie sam, bo innyby tego tak nie zrobił, choćby może i na gospodarkę w tem niestrudzonem posłowaniu zarobił i sprawy chłopskiej mądrzej bronił. Ale nie tak jak Krecik, co wychudł z latami i zmizerniał, a wszystko przez tę ustawiczną troskę o cierpienia i nędzę biednego narodu.

Tym razem Krecik śmiało zaczął, wytrzeszczając przekrwione oczy szeroko, prawie tryumfalnie zaczął, bo jedno zwycięstwo, choć nie najważniejsze, nad ciemnością ludzką odniósł.

— Obywatelki i obywatele — powiada — o polityce światowej — powiada — mówił nie będę — powiada — bo to wszystko wiecie — powiada — ale — powiada — o wewnętrznej się rozwodził będę — powiada — bo to, co nas boli najwięcej i gryzie — powiada — najważniejsze jest w tym — powiada — pochodzie ku lepszym świtom i tej — powiada — kochanej Polsce Ludowej. A wszystko byłoby lepiej, ino panowie nas — powiada — zadami przysiedli i żadnego — powiada — oddechu ani wolności — powiada — niema.

Poprawił lewe oko palcami, najuszył się i ciągnie jak z nut dalej.

— Bo to wszyscy wiemy, co kryzys jest — powiada — i nędza powszechna przyjdzie wnet za nim a my — powiada — pracujemy z naszym radykalnym klubem chłopskim nad tem, żeby — powiada — tej nędzy powszechnej zapobiec. I znów się chmury ściągają nad narodem chłopskim i błyska się nad nami, burzy jeszcze niema — powiada — ale będzie.

Kilku chłopów drgnęło w tym momencie i zerwało się do okien szybko, ale na polu gorąca pogoda ułożyła się w śliczny błękit o jasności stalowej i zrozumieli wówczas, że to mowa o burzy w przenośni a nie naprawdę, żeby się miało na deszcz. Aż dreszcz ich przeszedł na samą myśl o tem, taki kawał drogi do chałup z miasta, i uspokoili się. A Krecik poprawił tym razem prawe oko i młócił zajadle.

— Czarne chmury wiszą znów nad narodem chłopskim i polskim, a wszystko przez to, że panowie mają rządy — powiada — a nie my, chłopi — powiada — pracujący, co żywią i bronią — powiada — tego rządu! Z tej naszej krwi chłopskiej — powiada — żyją. I aby temu skutecznie — powiada — zaradzić, zebraliśmy się na wybranie sejmu chłopskiego, a nie pańskiego i tyle — powiada.

Znowu to nieszczęsne oko palcami przytrzymał i poprawił, potem drugie i jak nie ryknie na salę struchlałą, że zimno poszło ludziom po plecach i nastrój podniosło drugie tyle.

— Trzydzieści pięć lat — powiada — taczkę poselską dźwigałem dogóry, trzydzieści pięć lat ją pchałem — powiada — mordując się, trzydzieści pięć lat ten ciężki chleb poselski — powiada — jadłem z ościami i łzami, ale stary już *jezdem*, siwy już *jezdem*, zęby mi wypadły, włosy mi wypadły — powiada — i pod pierzynę mi czas iść.

Trzydzieści pięć lat, kochany narodzie — powiada — tę taczkę poselską pchałem dogóry, a ino pięć metrów zostało — powiada — co raz bracie pchniesz i *przydzie* kres wszelki chłopskiej *bidzie*. Trzydzieści pięć lat te ciężkie taczki pchałem dogóry — powiada — ale stary już *jezdem*, siwy już *jezdem*, zęby mi wypadły, włosy mi wypadły i pod pierzynę mi czas iść.

Obtarł skroplone potem czoło, poprawił znów oko i ciągnął *se* dalej.

— Trzydzieści pięć lat — powiada — taczkę cia tę taczkę *ciongnołem* dogóry, *pchołem* tę ciężką taczkę poselską — powiada — i tych parę metrów mi tylko zostało, co razbyś bracie pchnął i kres wszelkiej *bidzie przydzie*. Panowie nas zadami przysiedli i źle jest i będzie gorzej, a tu *myślita*, że ustąpię? Nie ustąpię i taczkę tę — powiada — pchać znowu *trza* będzie dogóry, a ino pięć metrów zostało, to *pchnieta* raz i wszelkiej naszej chłopskiej *bidzie* kres nazawsze *przydzie*.

Tu znowu przystanął, złapał oddech. Chłopi tężyli uszy i tak się uciszyło, że było nawet słychać z ostatnich rzędów bezładne i dzikie chrapanie jakiegoś delegata, utrudzonego tą polityką srodze, który reprezentował godnie chłopów swojej wsi i spał z otwartą szeroko gębą, głową oparty o ścianę. Kontrkandydaci słuchali tej mowy o wewnętrznej polityce kraju z ogromnem zaniepokojeniem, bo cóż jeszcze tu nowego po tych nądrych i głębokich uwagach Krecika na temat kryzysu możnaby jeszcze dodać. Ale zdawali wszystko w duchu na opatrzność bożą i jakoś to będzie. Patrzyli w Krecika i czekali niecierpliwie końca i słuchali z uwagą, bo Krecik był mówca nad wyraz wspaniały. Krecik

---

gi biologicznej pobudza żywotność organizmu. Zachodzi tu u człowieka coś podobnego do h e t e r o z j i, obserwowanej u roślin, gdzie naprzykład przez krzyżowanie można otrzymać fasolę dwa razy większą.

W ten sposób i podłoże biologiczne twórczości naukowej prowadzi znowu do kwestyj socjalnych. Badanie naukowe ze wszystkich stron zazębia się o stosunki społeczne. Bo też sama przez się twórczość naukowa jest zasadniczo czynnością o charakterze społecznym. Badacz naukowy zdobywa nowe wartości, opierając się na ogólnym dorobku, i te wartości wkracza do tego dorobku w skali nietylko narodowej ale ogólno - ludzkiej — *la science n'a pas de patrie...*

Dezydery Szymkiewicz

przyszedł do siebie i przemówił ponownie.

— Trzydzieści pięć lat — powiada — tę taczkę surowo pchałem dogóry i choć tylko pięć metrów — powiada — do wierzchu zostało, nie mam sił i dalej tej taczki pchał już nie będę. Stary już *jezdem,* siwy już *jezdem,* zęby mi wypadły, włosy mi wypadły i pod pierzynę mi czas iść.

— *Widzita* bracia chłopi, że chwila jest bardzo poważna i że nas panowie zadami przysiedli, *musisita* wybrać takiego — powiada kandydata na posła, co to raz tę taczkę jeszcze — powiada — pchnie dogóry i kres wszelkiej chłopskiej *bidzie przydzie.* Ja już tym razem kandydować — powiada — nie myślę, cofam swą wolę na to, bo stary już *jezdem,* siwy już *jezdem,* zęby mi wypadły, włosy mi wypadły i pod pierzynę mi czas iść.

W tem miejscu przerwał, zaczerpnął oddechu, a wszyscy kontrkandydaci odetchnęli z ulgą, że Krecik tak zgóry zrzeka się kandydatury i wyboru i pomyśleli o nim z rozrzewnieniem i przyjaźnią i poczęli bić brawo, za nimi cała sala uderzyła takiemi oklaskami, że sam Krecik zgłupiał od tej niespodzianej owacji. Krecik wyczekał, aż się sala uspokoi, a wszyscy delegaci po tych słowach o niekandydowaniu aż łzy mieli w oczach z rozrzewnienia nad dobrocią i uczciwością Krecika. Oklaski ucichły i Krecik dokończył.

— Ale nie *myślita* — tu wskazał paluchem na pierwsze rzędy, gdzie siedzieli rozrzewnieni jego kontrkandydaci, a cała sala aż struchlała — ani ty Wojtuś, ani ty Józiu — powiada — ani ty Maciuś, ani ty Józiu — i pokazuje furt na Fąfarę, Burasa, Osada, Bykowca, Czaplę, Białonia i resztę kontrkandydatów — że was naród wybierze!

— Moiście wy kochani bratowie — paluch wystawił w stronę pierwszych rzędów i trzyma — na posła naród takiego wybierze — powiada — jakiego sam zechce i biada temu, ktoby — powiada — woli narodu nie uszanował. Ten, kogo naród wybierze — powiada — sam bez waszej pomocy musi pchać dalej tę taczkę i takiego *musita* bratowie wybierać, co najlepiej i najgodniej waszą wolę wykona, a wyście moi najdrożsi — i ty kochany Michasiu i ty Maciusiu i ty Józiu i reszta — powiada — do tego wcale niezdatni!

— Skończyłem przemówienie — powiada — o naszej polityce wewnętrznej, co ją każdy na wnętrzu z nas chłopów ma i otwieram nad niem *dyskusyję.*

Usiadł za stolikiem, objął przewodnictwo po Gawronie, zadzwonił na wszelki wypadek i czekał. Stylu sali, od samych drzwi wyjściowych, od ostatnich rzędów, gdzie najbardziej pomordowani chłopi spali i drzemali, uniósł się jakiś chłop — niechłop, chłopak — niechłopak, w burce sławuckiej zarzuconej na plecy, z włosami rudemi jak wiewiór na jeża ciętemi, dość wysoki i ze straszną zaciętością jakąś w twarzy i oczach. Nikt go nie znał, ani nie wiedział, kiedy i skąd tu przyszedł. Widać był delegatem, kiedy go na salę wpuścili. Rudzielec wstał z krzesła i podniósł rękę dogóry. Krecik, jak go dojrzał, zbladł, zatrząsł się, ręce mu zalatały nieprzytomnie, aż to wszyscy chłopi zauważyli i patrzyli badawczo w rudzielca, to znowu w Krecika.

— *Chceta* mówić? — warknął Krecik, jakby szczeknął.

— *Rychtyg* — powiedział zaciętym, chrapliwym, okrutnie nienawistnym głosem rudzielec.

I powolutku, jakby go ugniatał straszny ciężar na plecach, podnosił się z krzesła i szedł — nie szedł, stał — nie stał, a cała sala wpatrzyła się w niego niepewnie, a on przejechał rękami po rudym, rozpalonym jeżu na głowie i w te słowa witać począł Krecika:

— Ty stary łajdusie Krecik — powiada — ty łotrze wierutny — i idzie powoli środkiem, jakby się chciał nabliżyć ku scenie, a wszyscy chłopi podnoszą się z miejsc, jakby też chcieli iść za nim i Krecikowi słowa prawdy powiedzieć.

— Ty łobuzie poselski — powiada — fajdanisie zatracony — a cała sala stoi jak jeden ucieszona, że się znalazł taki, co prawdę wygarnął — a on powoli i ciężko w swej sławuckiej burce idzie środkiem i naród cały wpatrzony w niego wzrokiem posępnym obejmuje, a do Krecika nastaje.

— Ty łotrze Krecik, znają cię tu wszyscy — powiada — coś za jeden poślę nasz i wodzu kochany — trzydzieści pięć lat posłowałeś i ten ciężki chleb poselski żarłeś — powiada. — Trzydzieści pięć lat naród oszukiwałeś i tumaniłeś — powiada — że doprowadzisz do końca dzieło swego życia i tyleś łajdactwa zrobił, że narodowi przebrała się miara tego — powiada.

Zrobił przerwę w tym momencie, a niektórzy nawet myśleli, że chłop ten jest w ciemię lekko trzaśnięty, albo co. Gawron zerknął niespokojnie na Cielaka, Cielak na Krecika, ale Krecik słuchał z podziwu godnym spokojem kamiennym.

— Ty hyclu Krecik — burzył się nieznany rudzik i błyskał wściekniętemi gałami — trzydzieści pięć lat oszukiwałeś ten naród: trzydzieści pięć lat ciągnąłeś tę taczkę poselską dogóry i tylko pięć metrów zostało — ty drabie przeklęty — powiada — a cały naród patrzy na ciebie i żąda od ciebie rachunku.

W tym momencie rudemu przerwał jakiś bliżej nieznany tumult, wynikły w pierwszych rzędach. Zrobiło się niemałe zamieszanie, przez które przerwał się krzyk Pacyny: Proszę o głos!

A Fąfara i jacyś nieznani ludzie trzymali chłopakowi rękę na gębie, a on się szamotał i ryczał jak opętany.

— Proszę o głos!

— Proszę o głos!

Krecik zadzwonił i spytał chłodno:

— A w jakiej sprawie?

— Formalnej.

A tu cała sala powstała na Pacynę i huzia na niego.

— Dać mu w mordę — krzyczeli.

— Wyrzucić go!

— Dać mu w mordę!

I złapali Pacyniaka za bary i podnieśli go wgórę a on wierzgał nogami jak źróbek. Fąfara wylazł na stołek i chcąc przekrzyczeć rozszalałe chłopstwo, ryknął:

— To *kumonista.*

Dolał tem Pacynie okropnie. Paru chłopów złapało Pacynę za grdykę, obezwładniło go i wyniosło wierzgającego i ryczącego potwornie: Protestuję i protestuję!

— Precz z *kumonistami!* — krzyknął jakiś chłopina z plastrem na gębie.

— Precz!

— Precz!

— Precz!

Cała sala aż się trzęsła od *preczów* i *hańba,* bo potem jak to zwykle bywa zaczęli krzyczeć i ci, co się dopiero obudzili i hałas wynikł straszny. Wyrzucili Pacynę i dopiero, jak już go wyrzucili, przypomnieli sobie raptem, że właściwie nie wiedzą, za co go wyrzucili, ale nijako było się teraz po wszystkiem pytać go, o co naprawdę poszło. Rudy wyczekał spokojnie na swą chwilę. Wreszcie Krecik powiedział uspokajająco:

— *Mówta.*

I rudy mówił:

— Ty stary jeżu — powiada do Krecika — trzydzieści pięć lat taczkę poselską pchałeś dogóry. Trzydzieści pięć lat pchałeś tę taczkę dogóry, a ino ci pięć metrów zostało, to pchniesz raz i kres wszelkiej *bidzie przydzie.*

— Ty stary łajdusie — powiada — trzydzieści pięć lat pchałeś tę taczkę dogóry, a teraz co ino ci pięć metrów zostało — mówisz, że stary już *jezdeś,* siwy już *jezdeś,* zęby ci wypadły, włosy ci wypadły i pod pierzynę ci czas iść.

Wszystkie chłopy powtarzały za rudym miotane na Krecika obelgi i rudy miał całą salę za sobą bez wyjątku. I znowu zaczął o tem pchaniu przez trzydzieści pięć lat tej ciężkiej taczki, o tych pięciu metrach, co do wierzchu zostały i znowu o tem samem, a cała sala za nimi. Wreszcie jak nie ryknie, idąc z rozpłomienioną gębą aż ku scenie prawie:

— A *pchoj* cholero tę taczkę dogóry!

A cała sala aż się trzęsie od zachęty i wołania na wyścigi:

— A *pchoj* cholero!

— A *pchoj* cholero tę taczkę dogóry!

— A *pchoj* cholero!

Taki powstał olbrzymi ryk, że pobudzili się wszyscy i nikt nie rozumiał, o co chodzi, i cała sala zerwała się z krzeseł i pchała się naprzód, a wgórę podniosło się kilkaset machających pięści, a z gardeł ryk nieludzki walił ku Krecikowi:

— A *pchoj* cholero!

— A *pchoj* cholero!

— A *pchoj!*

Krecik wstał blady i rozstrzęsiony, zadzwonił ogromnie dzwonkiem, uciszyło się, a on poprawił oko palcami, bo mu mgłą zachodziło a chłopi patrzyli rozżarzonemi oczami w ramę sceny o ciężkim, masywnym blasku dębowym. Stał chwilę, chrząknął i powiedział wzruszonym głosem:

— Bracia, myślałem już od was odejść i oddać tę pracę i honor narodu — powiada — komu innemu, ale skoro taka wasza wola — zostaję. Dziękuję za wybór i niniejszem rozwiązuję zgromadzenie. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

I poszedł ze sceny.

Marjan Czuchnowski

Wskutek zmiany liczb orjentacyjnych przy ul. Hauke Bosaka obecny adres „Sygnałów" brzmi: Lwów, Hauke Bosaka 12.

ANDRZEJ DROZD

LISKÓW NIEAKTUALNY

Franciszek Magryś urodził się w roku 1846 w Handzlówce, powiatu łańcuckiego. Rodzice jego matki nazywali się pieszukami, bo „trzy dni pieszych w tygodniu pańszczyzny winni odprawić, albo odrobić powinni dworowi dni piesze, a to za dwa dni piesze dać winni jeden dzień pańszczyzny sprzężajnej parą koni i parą wołów". W swoim „Żywocie chłopa - działacza" wspomina, że ks. Stojałowski przysyłał mu darmo „Wieńca" i „Pszczółkę", w roku 1893 zaś, w stuletnią rocznicę rozbioru Polski, pojechał z chłopami na zjazd do Krakowa, gdzie u bramy Florjańskiej powitał ich profesor Kozłowski jako „nadzieję i siłę narodu". Gdy skończył przemówienie, a żaden z chłopów nie kwapił się do odpowiedzi, Magryś wstąpił na mównicę, by odpowiedzieć w imieniu chłopów panom i księżom. Po zejściu z mównicy powstał wśród publiczności krzyk, akademicy otoczyli go i zapisywali nazwisko; nazajutrz na wspólnym obiedzie, po toastach panów na cześć włościan i „najwięcej dla chłopów zrozumiałem" przemówieniem Stojałowskiego, gdy znowu nikt z chłopów nie odpowiadał, powstał Magryś po raz drugi i zaczął mówić. Akademicy wynieśli go na stół, a burza oklasków dała mu wkrótce znać, że dobrze mówił. Wtedy dopiero wystąpił Bojko. Szło mu ciężko, w dodatku nie chciano go słuchać, bo „zaraz na wstępie skierował przemówienie przeciwko panom". Magryś pisze: „Dziwnie się losy ludzi układają: Bojko stał się sczasem wielkim politykiem ludowym, pisarzem, został posłem i senatorem, a ja wróciłem na wieś znany tylko trochę w powiecie, mogłem jedynie wśród ciężkiej biedy i niedostatku pracować społecznie w mej wsi rodzinnej i wpływać na podniesienie się jej kultury". W Handzlówce powstały spółdzielnie, bibljoteki, instytucje gospodarcze i społeczne; Magryś w roku 1930 został odznaczony złotym krzyżem zasługi: jego wieś pierwsza w Polsce miała własny park. Złoty krzyż zasługi był jednak ostatnim pogłosem jego działalności, jak godność senatorska Bojki w sejmie z 1930 roku była ostatnim wieńcem z tych, które tylekroć koronowały prace samouka - przewódcy.

W zapomnieniu zupełnem umarł niedawno Bolesław Wysłouch, jeden z krewicieli pierwszych form ruchu ludowego, przytupującego jeszcze w takt dworskiego i księżego poloneza. I już wprost dramatyczne było „wycofanie z obiegu" ks. Blizińskiego. Zdawało się, a pracowała na to propaganda, że oś zagadnienia wiejskiego wiruje w Liskowie, że Lisków długo będzie wskazywać masom drogę polepszenia bytu, organicznego, szarego dźwigania się wzwyż. Ze strajkiem chłopskim zawaliły się tamte, wystawne, kilkakrotnie wznoszone trybuny; po dłgotrwałych fanfarach zagrano krótką, ostrą pobudkę, podczas alarmu, jak zwykle, nastąpiło zamieszanie; publicyści myślący o wsi i chłopie jedynie kategorjami bandytyzmu, ustawili natychmiast na froncie nieboszczyka Szelę, przyszedł popłoch i konsternacja. Nikt nie zatroszczył się o Lisków. Fala chłopska, tych samych chłopów, których wieziono na wystawę wzorowej wsi wagonami towarowemi,

otarła się o zelektryfikowaną wioskę i odrzuciła ją daleko — Lisków w orbitę aktualnych zagadnień nie wrócił: nikt nie odważył się zaproponować uzdrawiania wsi kwestarskiemi metodami ks. Blizińskiego. Wieś, nawet ta starsza — pokolenia przedwojenne — wymknęła się z rąk nietylko Bojce, Magrysiowi, Wysłouchowi — działaczom, których legenda gasła w oficjalnym blasku złotych krzyżów, — wymknęła się w nieprawdopodobnie gwałtowny sposób wszystkim, którzy chcieli jej problem zredukować znowu do Liskowa, przewodzącej i budującej laski pasterskiej. Bojko był działaczem, Wysłouch pracował nad ludem i dla ludu, Magryś pamiętnik swój zatytułował „Żywot chłopa - działacza"; były to *jednostki* reprezentujące i stanowiące chłopski aktyw, w zamian za pasywizm mas, którym przewodzili i dla których dobra zakładali spółdzielnie, budowali wzorowe wsie, wywalczali ustawy. Po latach zostali wyrzuceni z siodła, skazani na pamiętniki. Jakby nie rozumiejąc tragicznego losu Stapińskiego, Pluty i Magrysia — rozwinięto propagandę regresu do Liskowa: jakby nie pojmując, że prałat Bliziński i jego Lisków to dla chłopów czasy wcześniejsze nawet od pierwszych bratań wolnych włościan z panami i księżmi u bramy Florjańskiej, lata i wieki, kiedy jedynymi zakonodawcami i czynnymi współtwórcami życia byli pan i ksiądz, który tak samo jak dziś Lisków budował wczoraj jałmużniczo świątynie. Redukcja dawnych autorytetów i dawnej hierarchji życia wsiowego szła szybko; w obliczu ich zupełnego upadku stoimy właśnie dzisiaj, po klęsce Liskowa i zwycięstwie strajku chłopskiego.

STRZASKANY PASTORAŁ

Skonfiskowano

Skonfiskowano

TRAGICZNY SENS

Wieś Blizińskiego wzbudziła wiele zastrzeżeń. Pokpiwali z niej Ukraińcy, wysłani tu „na spytki" przez swoje organizacje rolnicze, szereg zarzutów postawiły nietylko pisma ludowe ale i ściśle fachowe, którym trudno podsunąć demagogję, jak „Gospodarka Narodowa". Społeczna wartość Liskowa jako wzoru, przykładu, stanęła pod znakiem zapytania. Prawie wszystko w tej wsi było dziełem jednego człowieka, w jego rękach skupiała się wszelka inicjatywa. Ogół parafjan w budownictwie aktywnie nie uczestniczył. Ukraińcy spostrzegli niski jakościowo i ilościowo stan czytelnictwa oraz kultury umysłowej obywateli osady, kilka pism fachowych odkryło wyjątkowy dopływ pieniędzy z Ameryki, z dotacyj, wkońcu z jałmużny, co świadczyło o niebylejakich zdolnościach kwestarskich Blizińskiego. „Piast" przeciwstawił Liskowowi Nowosielce, jałmużniczemu, na kwestarskiem spryciarstwie i na wpływie laski pasterskiej opartemu budowaniu wsi, budownictwo powszechne, drogą zmiany ustroju, ambitną wolę współgospodarzenia państwem, wychodząc ze słusznego założenia, że budowy a raczej przebudowy wsi nie można opierać na kweście i subwencjach. Liskowianom konjunktura dopisała i właśnie dlatego niepodobna z Liskowa tworzyć systemu ani rozszerzać na całą Polskę sztuczek kwestarskich prałata. Te głosy krytyczne przy równoczesnej obojętności i milczeniu uświadomionych chłopów, na widok „wzorowej" osady świadczą, że chłopski aktyw nie opowiedział się za Liskowem. Wyzwolony własnowolnie, prężny, zdobywczy, bazujący swe postulaty na szerokich podstawach demokracji prze ku wielkiemu budownictwu, chce oprócz „dźwiganie się wzwyż" (które znowu przechodzi u nas we frazes) nie na kweście czy lasce pasterskiej „popędzającej potulną trzódkę", ale na „własnej światłej pracy ludu rolnego zorganizowanego w Stronnictwie Ludowem".

Pozytywnych ujść dla tej energji ciągle niema, śmiesznością byłoby zwężanie ich za Skwarczyńskim do przystosobienia rolniczego. Jeżeli zaś najgłówniejszym powodem tego, że udział, znaczenie i dorobek wsi w życiu państwa są nieproporcjonalnie małe, jest rozbicie i rozproszenie świadomości, i woli ludu wiejskiego, jak twierdził zmarły ideolog, to dziś przyczyna ta uległa prawie zupełnej likwidacji. Tak dalece, że znikli starzy przewódcy, wedle których dzielił ruch ludowy, orjentację personalną z jej odcieniami zastąpiła społeczno - ustrojowa.

— — — — — — — — —

Aliści w „Monitorze Polskim" z dnia 27 sierpnia b. r. ukazało się rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej, nadające złoty krzyż zasługi za pracę na polu społecznem w województwie lwowskiem około 40 osobom, z tego przeszło 15 proboszczom, kilkunastu ziemianom, wkońcu paru inżynierom i doktorom.

I to jest istotny sens „rozdroża": czterdziestu jeden chłopów odznaczonych krzyżami mogił i piętnastu Blizińskich krzyżami zasługi.

Andrzej Drozd

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

MASARYK

Gdy przed paru laty dużo pisano o stanach zjednoczonych Europy i gdy rzucono pytanie, kto mógłby być prezydentem takich stanów zjednoczonych, Bernard Shaw odpowiedział: „Któżby inny, jeśli nie Tomasz Masaryk?" Postać to naprawdę zdumiewająca. Gorący patrjota, który każdą chwilę życia poświęca swemu narodowi, ale którego miłość własnego narodu nigdy, ani na chwilę nie zostaje zamącona uczuciem już nie nienawiści, ale choćby nieżyczliwości dla któregokolwiek innego narodu. Urodził się na Morawach jak syn słowackiego fornala, wrósł w kulturę czeską i wszechludzką, wzniósł się na szczyty ducha najwyższe i pracując nad wyzwoleniem własnego narodu, pracował dla całego rodzaju ludzkiego. Pozostawił po sobie wielki dorobek naukowy i publicystyczny o wartości trwałej, ale jednocześnie znajdował dość sił i czasu, aby przewędrować niemal cały świat, pozawierać znajomości z największymi przedstawicielami ludzkości i aby umierając, wzbudzić głęboki żal we wszystkich miłujących człowieka, wolność ducha i wolność pracy, ceniących równość i braterstwo. Jego umiłowaniem najgłębszem jest pokój i błogosławieństwa spokojnej pracy, ale jego żywiołem jest walka z tem wszystkiem, co człowieka poniża, nie pozwala mu spokojnie pracować i ogranicza wolność jego duszy, umysłu, serca, charakteru.

Tomasza Masaryka można w pełni ocenić dopiero w głębokiej perspektywie dziejów jego narodu i dziejów Europy, w perspektywie stosunku duszy czeskiej do rzeczywistości czyli do poznanej prawdy. Duszę tę cechuje już w wiekach średnich wielka powaga i głęboka wiara w zwycięstwo prawdy. Na tej wierze kształtuje się charakter czeski. W połowie stulecia XIV, gdy chrześcijaństwo jest najwyższym stopniem poznania świata i prawdy, czołowi Czesi docierają do ewangelji i w przeciwieństwie do powierzchownego romańskiego formalizmu zabierają się do realizowania ideału ewangelicznego. W prekursorach czeskich Jana Husa, w Macieju z Janowa i w Miliczu z Kromierzyża, zaczyna się wielka dynastja czeskich nauczycieli i wychowawców.

Nie pierwszy z nich, ale największy i najpowszechniej znany jest Jan Hus, wielki charakter, którego stos przemienia się w jasne ognisko, świecące stuleciom i miljonom. Ten nauczyciel i wychowawca, a przedewszystkiem wzór, mobilizuje swój naród do walki o prawdę i wolność sumienia. W walkach husyckich Czesi zdobywają olbrzymi kapitał duchowy, którego starcza dla całych pokoleń, nietylko czeskich. Z husyckich sztandarów hasło wolności sumienia niby płomień przeskakuje na sztandary całej walczącej ludzkości i hasło to już z dziejów świata nie zniknie. Około wielkiej postaci Husa skupia się krąg pisarzy czeskich, którzy, jak np. Chelčicky, zabierają się do realizowania chrześcijaństwa z żarem i gorliwością tertuljańską. W walkach o wolność duszy ludzkiej, wikłających się walkami politycznemi, element moralno-religijny wciąż wybija się na czoło i gdy wreszcie Czesi ponoszą fatalną klęskę na Białej Górze w początkach wojny trzydziestoletniej, śród dziesiątków tysięcy Czechów idących na dobrowolne wygnanie, aby tylko unieść dobro najwyższe, wolność sumienia, znajduje się wielki wychowawca światowej sławy, Jan Amos Komensky, który m. i. korzystał z gościny Rzeczypospolitej i mieszkał w Lesznie wielkopolskiem.

Gdy z rewolucją francuską przychodzi odrodzenie narodu czeskiego, na jego czele znowu widzimy nie wojowników i nie zbrojne zastępy, ale uczonych, nauczycieli, wychowawców. Dobrovsky, Jungmann, Safarik, Kollár, to nietylko uczeni, ale przedewszystkiem wychowawcy swego narodu, ożywieni zawsze ideałem najwyższego humanitaryzmu. I historykowi czeskiemu, Palacky'emu, podobnie jak politykowi Riegrowi, przyświecał ideał wychowawczy: chciał pokazać swemu narodowi, że jego przeszłość jest wielka, że taką samą może być i powinna być także jego przeszłość, że więc winien wierzyć w tę przyszłość i dla niej pracować. Twórcy „Sokoła" czeskiego, Tyrš i Fügner, to także wychowawcy, których idea wybiegła daleko poza granice Czech. Chcieli, aby zdrowy duch mieszkał w zdrowem ciele.

Do tej więc dynastji nauczycieli, która wychowywała swój naród i wiodła go w przyszłość pod sztandarem szlachetnego humanitaryzmu, należy Tomasz Masaryk. Jego życiorys to jedno z najcudowniejszych zdarzeń naszej współczesności. Urodzony w izbie dworskiego fornala, wnosi w życie wrażliwe serce i oczy szeroko otwarte na otaczające go tajemnice życia. Uczy się zrazu, gdzie się da, dostaje się na terminatora do kowala i wreszcie staje się uczniem gimnazjum, które przechodzi jako młody proletarjusz, odszkodowujący się za ciężką teraźniejszość marzeniami o przyszłości. Idzie na uniwersytet, staje się docentem i profesorem, uczy się bezustannie, naucza i wychowuje innych, zrazu w Wiedniu, potem w Pradze, na tym samym uniwersytecie,

na którym ongi nauczał i działał sławnej pamięci Mistrz Jan Hus.

Ale uniwersytet to dla Masaryka nie wszystko: jego katedrą jest życie. Stara się je dźwignąć, uczynić pięknem i szlachetnem. Wykłada więc robotnikom różne zagadnienia społeczne i filozoficzne, bada życie, zastanawia się nad samobójstwem jako zjawiskiem masowem współczesnej cywilizacji, czyta bardzo wiele i umie wyłowić osobliwie piękne słowa, które nieraz streszczają całe życie pisarza, innym zaś razem są jakby programem pracy i dążeń. U Goethego znalazł takie piękne słowo w powiedzeniu *„exakte Phantasie"*. Słowo to charakteryzuje wyobraźnię Masaryka, która przy całem swojem bogactwie jest zawsze ścisła. W umyśle tym nie było nigdy miejsca na rzeczy mgliste, niejasne. Gdy w łonie legjonistów czeskich powstawały tarcia i wzburzenia na tle radykalizmu społecznego, Masaryk odrazu uspokoił wzburzone umysły czterema słowami, które natychmiast dostały skrzydeł: „Wzburzenie to nie program". Umysł nie powinien nigdy ulegać jakimś wzburzeniom, ale ma panować nad wszystkiem i w każdem działaniu mieć program.

Programem życiowym Masaryka była prawda, najjaśniejsza i najpotężniejsza rzecz na świecie. Dla niego prawda naukowa reguluje się automatycznie i nie potrzebuje żadnej cenzury. Krytyka robi swoje zawsze i wszędzie. Ale potrzebuje wolności. I dlatego Masaryk przez całe życie walczy o wolność ducha dla wszystkich. W r. 1886 występuje przeciwko fałszerstwu rękopisów królodworskiego i zielonogórskiego i wbrew ambicjom „narodowym" demaskuje je jako fałszerstwo. Ataki kołtuństwa na Masaryka i Gebauera były tak bezwzględne i dzikie, że prof. Gebauer aż się rozchorował. Tylko Masaryk zachował spokój. Dziś już nikt nie broni tego jawnego falsyfikatu. W r. 1889 powstała w Czechach sprawa o mord rytualny, wytoczona Żydowi Hilsnerowi. Masaryk powiedział, co myśli o tym zabobonie i znowu stał się przedmiotem ataków ze strony fanatyzmu i ciemnoty. Wytrwał i zwyciężył. W r. 1909 panująca polityka oskarżyła w Zagrzebiu 53 Chorwatów o zdradę stanu. „Agenci madziarscy — powiada Masaryk w swych rozmowach z Czapkiem („Hovory s Masarykem") — występowali przeciwko nim z fałszowanemi dokumentami. Szło tu o szubienicę. Miałem w Bośnji i Chorwacji znajomych już od czasów swej kampanji przeciw Kallayowi (ministrowi węgierskiemu) i miałem tam sporo uczniów, przyszli do mnie, żebym pojechał do Zagrzebia. Zbyt wielkiej ochoty nie miałem, bałem się, że to zabierze mi bardzo wiele czasu. Ostatecznie do Zagrzebia pojechałem, byłem na procesie, a potem całą sprawę przedłożyłem parlamentowi. Wyrok został skasowany". Tak samo wystąpił później przeciwko historykowi wiedeńskiemu, Friedjungowi, który publikował jakieś sfałszowane dokumenty przeciwko Serbji wymierzone. I znowu zwyciężył jego cudowny instynkt prawdy.

Potem nastaje dla niego największa walka o prawdę i sprawiedliwość dla swego narodu. Wybucha wojna światowa i 64-letni Masaryk idzie na dobrowolną tułaczkę i walkę. Jest zrazu sam i jedyną stawką w walce z państwami centralnemi jest jego życie. Wiedział, że jeśli zostanie schwytany przez Austrjaków, to go nieubłaganie powieszą, ale wola prawdy jest w nim tak samo, jak w Husie, silniejsza od obawy śmierci. Podróżuje po Europie i Ameryce, głosząc niepodległość swego narodu i znajduje coraz więcej posłuchu. Od samego początku wierzy niezachwianie, że zwycięży demokracja aljantów, że przegrają państwa centralne. Jego odyseja polityczna nie ma równej sobie w dziejach świata. Ten stary strudzony pracownik zdaje się czerpać siły z ogromu zadań, jakie sam sobie stawia. Życie pędzi ubogie, liczy się z każdym wydanym groszem i notuje skrupulatnie każdą ofiarę na rzecz walki o wolność. Gdy go patrjoci zachęcają, aby się zwrócił do zamożniejszych Czechów o pomoc, odmawia: — Ja mam bardzo przyzwoite wynagrodzenie jako profesor uniwersytetu. Nikomu nie wolno przypuszczać nawet, iż ofiarował mi choćby grosz...

Wreszcie po nadludzkich paroletnich wysiłkach, gdy trzeba było zwalczać nawet własnych ziomków, ich lękliwość i oportunizm, przychodzi wielka chwila, o której pisze z niesłychaną właściwą sobie prostotą: — Przy wyjściu z hotelu nowojorskiego (20 listopada 1918) zostałem zaskoczony pierwszemi honorami wojskowemi... Te honory wojskowe zwracały mi odtąd stale uwagę, że przestaję być osobą prywatną... — Masaryk wraca do Czech jako tryumfator, ale nie spoczywa na różach. Pracuje jako prezydent i jako uczony. Pisze wspaniały pamiętnik swój o rozległych perspektywach politycznych, religijnych, naukowych, literackich. Pozostaje tem czem był: człowiekiem pracy, prostym, dostępnym dla wszystkich, wiernym ideałowi wolności sumienia i wolności badania. Wierzy w demokrację, nie wierzy w nieomylnictwo polityczne nikogo. Gdy wdzięczny naród z okazji osiemdziesiątych urodzin jego zbiera kilkanaście miljonów i składa mu je w ofierze, Masaryk rozdaje te pieniądze instytucjom kulturalnym, nie zapominając o mniejszości niemieckiej i węgierskiej.

Samo słowo „demokracja" wydaje się mu *contradicto in adiecto*, jeśli akcentować „krację" — władzę. Nikt nad nikim nie ma panować, nikt nikim władać, prócz siebie. Ale za to władza nad sobą musi być mocna, czujna, nieustępliwa. Podobnie jak Kierkegaard, i Masaryk wierzył niezłomnie, że miljon ludzi ożywionych jedną wielką ideą, przeniknięty nią nawskroś, przepojony pragnieniem wolności, jest nieskończenie silniejszy od wielu miljonów zgrupowanych mechanicznie. To, że Masaryk odnowił państwo czeskie, to wielka rzecz, ale że odnowił w duszach swoich rodaków gorącą wiarę w prawdę, że zdołał ich przeniknąć nieustępliwą miłością wolności i demokracji, to rzecz nieskończenie większa. Pracując dla swego narodu, inspirował się dziełem Husa, Komenský'ego, Havlička i wielu innych wybitnych Czechów, z ideałami ich szedł między robotników i górników czeskich, głosząc im wielkość i wartość charakteru, ucząc ich wierności dla wielkiej idei. Gdy stał się prezydentem republiki, nietylko że się od nich nie oddalił, ale przeciwnie, zbliżył się do nich tembardziej. Dziś gdy naród czeski składa ostatni hołd jego szczątkom cielesnym, duch tego wielkiego Człowieka żyje w miljonach. I jak wszystko żywe i mocne, rzeczywiste i prawdziwe, duch ten ma w miljonach swój rozkwit, dojrzewanie i owocowanie.

Jest w Masaryku jeszcze jeden rys godny podkreślenia: ten wielki arystokrata ducha, był i pozostał zawsze wrogiem wszelkiego arystokratyzmu przywileju czy zasługi. Stąd ten wspaniały jego rys charakteru, że w sprawach dotyczących człowieka nigdy nie uważał siebie za zbyt wielkiego, aby nie móc wziąć udziału w dyskusji ludzi najprostszych, najmniej znanych. On utrwalił w swojem społeczeństwie koleżeńskość i przyjaźń także w literaturze i publicystyce, gdzie niema kółek i klik ekskluzywnych, wyłączających się wzajemnie i nie chcących wiedzieć o sobie. Temu m. i. literatura czeska zawdzięcza fakt doniosły, iż w narodzie przeszło trzykrotnie mniej licznym od polskiego, książka rozchodzi się w nakładach trzy - cztery razy wyższych od nakładów naszych, realizując stare hasło czeskie: — Osvětou k svobodě! — Przez oświatę ku wolności. Oczywiście, ku wolności ducha przedewszystkiem, która jest fundamentem wszelkiej innej wolności, jak nie przestawał nauczać swój naród Tomasz Masaryk.

Paweł Hulka-Laskowski

ZYGMUNT JAROSZ

REALIZM CHRZEŚCIJAŃSKI

Konrad Górski napisał pasjonujący szkic „O duchu myślenia utopijnego i o chrześcijańskim realizmie" („Kultura" nr. 2 (40) z 10 stycznia i nr. 3 (41) z 17 stycznia b. r. Rzecz ukazała się jako broszura p. t. „Dążenia utopistów a chrześcijański realizm". Poznań, Nakładem Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej, str. 47). Określił w nim niedwuznacznie i bezkompromisowo postawę katolika względem tego kompleksu zagadnień, który zwykle nazywamy kwestją społeczną. Uczynił to zaś w sposób możliwie najbardziej ciekawy: przeciwstawiając ową postawę — „postawie utopijnej". Sensacyjność przeciwstawienia polega przedewszystkiem na tem, że dla Konrada Górskiego również i zwolennicy t. zw. socjalizmu naukowego są zasadniczo utopistami. Nietylko oni zresztą!

„Na terenie twórczości literackiej występują bez obsłonek, w czystej postaci marzenia, te cechy charakterystyczne postawy utopijnej wobec rzeczywistości, które w tych czy innych teorjach socjalistycznych tracą pozornie swą absurdalność skutkiem abstrakcyjnego sformułowania i pseudonaukowej argumentacji".

Tego zarzutu „pseudonaukowej argumentacji" nie oparł zresztą autor na konkretnej analizie odnośnych tekstów. Zdawałoby się, że powinna się tu napraszać przedewszystkiem znana książka Engelsa „Rozwój socjalizmu od utopji do nauki". A bardziej jeszcze od samej książki — piękna przedmowa Plechanowa do 3-go rosyjskiego wydania (jest i po polsku). Szkic Górskiego stanowi przykład — tak rzadkiego dziś u nas! — połączenia dwu nader cennych cech umysłowości: wysokiej kultury i głębokiej dyscypliny myślowej. Jeśli autor pewnej miary chce podbić czytelnika śmiałością inwencji polemicznej, powinien się wystrzegać rzucania łatwych, demagogicznych okrzyków, które, bez analitycznej szermierki, wyglądają poprostu na inwektywę.

„Istotą tej postawy (utopijnej — przyp. red.) jest przekonanie, że można stworzyć ustrój świata, zapewniający ziemską szczęśliwość ogromnej większości ludzi, jeśli nie wszystkim. Innemi słowy postawa utopijna to wiara w możliwość trwałej naprawy świata drogą idealnej organizacji życia. Wiary tej chrześcijaństwo podzielać nie może, kieruje się bowiem w ocenie rzeczywistości nauką o grzechu pierworodnym".

I znowu, trzeba „oddać co cesarskiego cesarzowi": sedno sporu zostało wyłożone w tych trzech zdaniach z klasyczną jasnością. Nietylko Morus, Campanella, Saint-Simon, Fourier, Blanc, Proudhon czy Marx są wedle Górskiego, utopistami; jest bowiem utopistą każdy, kto wierzy w trwałą naprawę świata drogą ustrojową.

W ten sposób otrzymujemy dwa główne, wszechogarniające typy myślenia socjalnego: realistyczny i utopijny. Jako podstawę podziału przyjmuje Górski *wiarę* w trwałe skażenie natury ludzkiej, powstałe naskutek grzechu pierworodnego. Myśl o zapewnieniu ziemskiej szczęśliwości jakiemuś społeczeństwu może być tylko marzeniem; człowiek nigdy nie będzie już posiadał (na tej ziemi) pierwotnej harmonji wewnętrznej. Fakt ten decyduje w sensie negatywnym o możliwości budowy szczęśliwego ustroju społecznego: na budulcu są zbyt głębokie rysy.

„Uważne i bezlitosne spojrzenie wgłąb naszej duszy, rzetelna kontrola własnego życia wewnętrznego musi przekonać każdego człowieka o prawdzie tezy, że istota ludzka nosi cechy jakiegoś skażenia, którego żadnemi wpływami ustrojów życia zbiorowego wytłumaczyć niepodobna. Obserwacja ta jest poprostu wynikiem realizmu psychologicznego i człowiek niewierzący, ale obdarzony odrobiną wyobraźni, z łatwością dojrzy w historji biblijnej, jeśli nie objawienie, to przynajmniej genjalny mit, tłumaczący jedną z najgłębszych prawd życia ludzkiego".

Taka jest *psychologiczna* geneza owej linji podziału, którą Konrad Górski stosuje do teoryj *socjologicznych*. Zresztą nie rozprawia się on bezpośrednio z wrogim sobie odłamem tych teoryj. Wystarcza mu podciągnięcie ich (t. j. wrogich teoryj) pod wspólny mianownik utopijności. Samą zaś utopijność pogrąża, analizując tezy dwu książek: „Utopji" Morusa i „La Terre Australe connue" Gabrjela Foigny. Jasne, że w ten sposób ogromnie ułatwił sobie Górski zadanie. Krytycznemu jednak czytelnikowi nie może wystarczyć taka pośrednia dyskredytacja „nie—realistycznej" myśli socjalnej.

„Wyższością... chrześcijaństwa w zrozumieniu praw, życiem rządzących, jest świadomość tego, że o stałem podniesieniu ludzkości na pewien określony poziom moralny, czy o urobieniu raz nazawsze psychiki ludzkiej na pewien nowy i lepszy ład, mowy być nie może. Życie ludzkości składa się ze wzlotów i upadków; po okresach wielkich wysiłków i osiągnięć moralnych przychodzą nieraz epoki deprawacji i marazmu ducha. Tak było dotąd i tak będzie do końca świata, bo walka z szatanem o dusze ludzi zakończy się dopiero wraz z sądem ostatecznym".

Taki jest nieustraszony realizm Konrada Górskiego. Najcharakterystyczniejsze wydaje się tu samo sformułowanie myśli, że „po okresach wielkich wysiłków i osiągnięć moralnych przychodzą *nieraz* epoki deprawacji i marazmu ducha". Nieraz? Ale niezawsze? Czyżby zapomocą jednego słówka chciał się Górski pogodzić z rzeczywistością historyczną? Czyżby, pisząc je, przyznawał, że niema równowagi ilościowej pomiędzy wzlotami i upadkami ludzkości, pomiędzy częstotliwością i trwałością okresów postępu a częstotliwością i trwałością okresów załamań? Zwłaszcza, że pominął takie zagadnienie równowagi jakościowej: wysokości wzlotów i głębokości upadków. Jedno pozostaje jasne: realizm Górskiego tkwi wszystkiemi korzeniami w psychologicznym *apodyktyzmie*.

„Ci ludzie, którym rozwój intelektualny i techniczny ostatnich stuleci przesłonił rzeczywistość moralną człowieka, bredzą o stałym postępie ludzkości... Zresztą słowo postęp nabrało magicznej siły uczuciowej... i ludzie stracili poczucie, że ono samo w sobie znaczy tylko „poruszanie się naprzód". Ale sens czyjegoś ruchu odsłania się dopiero wtedy, gdy znamy jego cel. Tylko znając cel, możemy stwierdzić, czy ktoś postąpił naprzód, czy się cofnął... Mówiąc zaś o chrześcijańskim postępie, t. j. o kroczeniu ludzkości ku Bogu, możemy tylko stwierdzić, że stałego zjawiska postępu w dziejach nie widzimy. Chrystus zakończył jedną ze swych przypowieści

słowami pełnemi grozy: „Albowiem wiele jest wezwanych, lecz mało wybranych"... Kto się wmyśli w sens tego powiedzenia, ten nie będzie oszukiwać samego siebie i innych mirażem złotego wieku, który ma jakoby nastać kiedyś na naszej biednej i umęczonej ziemi".

„Bredzą..." „Oszukiwać..." Nie, nie można posądzać autora tych słów o nadmiar uprzejmości w stosunku do przeciwników ideowych... „Chrześcijańskiego postępu" (na miarę niesłychanie ogólnikowej i mglistej koncepcji Górskiego), być może, naprawdę nie obserwujemy w historji. Inna rzecz z objektywnym postępem: technicznym, intelektualnym i etycznym. Zacytujemy nader charakterystyczny urywek ze starego odczytu Jaurès'a:

„Niedość jest powiedzieć, że jedna forma wytwarzania następuje po drugiej formie wytwarzania; niedość jest powiedzieć, że niewolnictwo zastąpiło antropofagję, że poddaństwo zastąpiło niewolnictwo i że ustrój socjalistyczny lub komunistyczny zastąpi salarjat. Nie, należy się wypowiedzieć jeszcze wyraźniej. Co się odbywa: ewolucja czy postęp? Jeżeli postęp istnieje, jaka idea jest rozstrzygająca i ostateczna, jaka idea służy za probierz rozmaitych form ludzkiego rozwoju? I dalej, gdybyśmy odrzucili ideę postępu, jako zbyt metafizyczną, to dlaczego proces historyczny szedł właśnie w tym kierunku, przechodząc od jednej formy do drugiej, od jednego ekonomicznego etapu do drugiego, od antropofagji do niewolnictwa, od niewolnictwa do poddaństwa, od poddaństwa do salarjatu, od salarjatu do ustroju kolektywistycznego — a nie inaczej?

Dlaczego, pod parciem jakiej siły, nie powiadam pod parciem jakiego przez Opatrzność wyznaczonego planu, gdyż trzymam się w granicach pojęć materjalistycznych i pozytywistycznych — dlaczego w przejściach od jednej formy do drugiej rozwój ludzi szedł w tym, a nie innym kierunku?" („Idealistyczne a materjalistyczne pojmowanie dziejów", str. 20).

Jaurès był jednym z tych filozofów, którzy usiłowali dać marxizmowi idealistyczną interpretację. Pytanie powyższe rzucił pod adresem ortodoksyjnych marxistów. Pozostawał pod wrażeniem, że dostrzeżona przezeń najogólniejsza immanentna logika rozwoju historycznego *może nasuwać myśl* o planie opatrznościowym. Z konkretnego materjału historycznego wysnuwał myśl o Bogu. Konrad Górski robi inaczej: wychodząc z założenia o nieprzezwyciężalnem zapomocą ziemskich środków skażeniu natury ludzkiej, *à priori* odrzuca myśl o stałym postępie społecznym i moralnym. Konrad Górski rozdziela ściśle dziedziny naszego życia: trwały postęp intelektualny i techniczny jest możliwy — trwały postęp socjalny i etyczny jest niemożliwy. Czy rozwój historyczny istotnie daje asumpt do takiego zróżnicowania? Czy ciąg: antropofagja — niewolnictwo — poddaństwo — pańszczyzna — salarjat — nie posiada aspektu etycznego?[1]) Czy jego olbrzymia doniosłość moralna może być przez chrześcijanina negowana? Czy wielkie odcinki historji, przedstawione w tych pojęciach (antropofagja... salarjat) nie stwierdzają, że przebieg dziejowy jest przebiegiem postępu — także i etycznego?

Całkowicie innem zagadnieniem jest sposób powiązania przeobrażeń społeczno - obyczajowych czy społeczno - moralnych z przeobrażeniami ekonomicznemi i technicznemi. Nie jest może tak bardzo, jakby się zdawało, nieaktualny idealizm Hegla, uważający wszystko za przejaw rozwoju objektywnego ducha. O aktualności marxowskiej teorji pod - i nadbudowy nie trzeba osobno wspominać. (Ktoś wymyśli może jeszcze teorję paralelizmu zjawisk ekonomiczno - technicznych i socjalno - etycznych — przez analogję do teorji paralelizmu fizjo - psychologicznego). W każdym bądź razie godzi się dzisiaj każdy z faktem współoddziaływania na siebie wszystkich dziedzin życia. Spór toczy się o istnienie i rolę zasadniczego wyznacznika przemian we wszystkich dziedzinach oraz o głębokość współoddziaływania. Katolicy wskazują na pewne niezmienne i nietykalne, ich zdaniem, piony, np. moralne. Ale Konrad Górski idzie dalej. Usiłuje wynaleźć jakąś absolutną granicę między technicznym a etycznym składnikiem naszego życia, głosi ich separację. Czy technika stanowi naprawdę tylko martwe ramy dla żywych aktów moralnych? Pomimo wszystko, wydaje się, że można ją traktować w sposób bardziej uskrzydlony...

Konrad Górski stwierdza, że pojęcie postępu traci sens, jeśli nie jest wiązane z absolutnym celem. Znowu pytanie: czy samo mnożenie i pogłębianie możliwości ludzkich nie jest postępem? (Łagodnie uśmiechnięty sceptycyzm poucza nas, że w dziejach panuje wciąż jednaka równowaga między ludzkiemi potrzebami a ich zaspokojeniem — z czego ma wynikać, że wogóle żadnego postępu niema. Ale przecież już samo narastanie potrzeb z równoczesnem powiększaniem możliwości ich zaspokojenia — stanowi *jakiś* postęp). Czyż zniesienie niewolnictwa nie było równocześnie stworzeniem nowych możliwości etycznych — tak dla stosunków międzynarodowych, jak międzyjednostkowych? Czyż *jakimś* postępem nie będzie samo kreowanie warunków, mogących przyczynić się do tego, aby to, co dotąd pozostawało *in potentia*, przeobraziło się *in actu*? Czyż — nadto — doświadczenie nie uczy nas, że historja tak, jak natura, nie cierpi próżni — i zawsze wypełnia nowootwarte pole działania ściśle określonemi czynami?

Twierdzenie, że istnieje stały postęp moralny, wydaje się być — przynajmniej na gruncie konkretów historycznych — bardziej uzasadnione od przeciwnego. Spór o hierarchję wartości prowadzi do sporu o absolut; nie sposób tu liczyć na łatwe dojście do porozumienia. Próba zresztą oceny kierunku rozwojowego dziejów z punktu widzenia jakiejś „najwyższej" wartości może okazać się tylko bezpłodną pedanterją. Natomiast konkretnie zgodzimy się, że degradacja murów, dzielących człowieka od człowieka (murów ksenofobijnych, kastowych, stanowych...), przyczynia się do postępującego wciąż zmniejszania się liczby występków przeciw etyce — nazwijmy ją ogólnikowo — humanistycznej. Przemiany społeczne, wprowadzające nowy porządek na miejsce starego, przyczyniają się, jak dotąd, do redukowania ładunku zasadniczej wrogości w stosunku do „obcego" człowieka, ładunku sadyzmu, pychy, złości, chęci upokarzań, wyzysku. Stosunki między ludźmi — biorąc najbardziej abstrakcyjny przekrój historji — stają się coraz bardziej ludzkie. Tak. Zasadniczej prawdy nie zmienia tu *chwilowe* i *częściowe*, chociażby najgroźniejsze, załamanie. Etyka międzyjednostkowa staje się coraz bardziej złożona, coraz subtelniejsza; podąża ona za wciąż rosnącemi i mnożącemi się zdobyczami intelektualnemi i technicznemi człowieka. Ten proces stałego wzbogacania się i rafinacji etycznej — nie jestże postępem z chrześcijańskiego punktu widzenia? (Pomijam tu kwestję upowszechnienia „wysokozorganizowanej" moralności, zanikanie podziału na moralność panów i moralność chamów...).

Weźmy przykład najbardziej wstrząsający. Stosunek człowieka do obłędu i obłąkanych. Jeszcze w pierwszej połowie XVIII wieku sądzono, że chorzy umysłowo są opętani przez djabła, i obowiązkiem każdego prawego człowieka było wypędzić z warjata nieczystego ducha, choćby w najokrutniejszy sposób. Po zarzuceniu tej teorji los obłąkanych stosunkowo poprawił się. Jednakże...

H. M. Robinson opowiada w „The Reader's Digest" (według „Symposionu", marzec 1936):

„Francuskie i angielskie zakłady dla obłąkanych były w XVIII w. widownią niesamowitych okropności, i mogły być zwiedzane tylko przez zwyrodniałych widzów. W Bedham, londyńskim zakładzie dla obłąkanych, niespokojnych pacjentów trzymano stale w kajdanach w wąskich klatkach, podobnych do trumien, lub też przymocowywano ich żelaznym łańcuchem do ściany. Szczury i robactwo zżerały im odzienie wprost na ciele. Za opłatą jednego penna dopuszczano publiczność; widzowie i strażnicy drażnili często warjatów aż do szaleństwa.

Nawet pierwsze próby leczenia były dla umysłowo chorych połączone z pewnego rodzaju okrucieństwem, gdyż według ówczesnych poglądów naukowych, warjatów można było wyleczyć tylko strachem.

Inny sposób leczenia, t. zw. kuracja wodna polegała na tem, że chorego rozbierano i wsadzano do głębokiej studni, w której zwolna podnoszono wodę, aż chory ze strachu dostawał szału".

Takie postępowanie z obłąkanymi miało przecież swój negatywny walor etyczny. Zarzucenie teorji o opętaniu, która tyle ofiar za sobą pociągnęła, było jedną ze zdobyczy wieku Oświecenia, pozostającą w ścisłym związku z postępowością „trzeciego stanu" oraz temi momentami socjalnemi, ekonomicznemi i technicznemi, jakie ową postępowość warunkowały. Dalsze polepszanie losu chorych umysłowo, dalsze pogłębianie stosunku etycznego do nich ze strony „bliźnich" — pozostaje nierozerwalnie związane z ogólnym rozwojem historycznym, postępami wielkiego przemysłu, chemji i medycyny. Tej „brutalnej" prawdzie nie można przeciwstawić żadnego generalnego kontrargumentu. Technika potrafi uskrzydlać etykę.

Psychjatrja znajduje się zresztą jeszcze w powijakach. Cierpi na tem w dalszym ciągu etyka odnoszenia się do obłąkanych. Potwierdzi to każdy kompetentny lekarz. Decydują najogólniejsze warunki: brak funduszów na badania naukowe, przepełnienie szpitali, rosnąca liczba chorych umysłowo i nerwowo (w związku z kryzysem gospodarczym) i t. d. Ileż to razy lekarz staje wobec straszliwego dylematu: czy warto wyprowadzać pacjenta z chorobliwego stanu przyjemnościowego — jeśli powrót do rzeczywistości grozi jak najgorszemi rezultatami?

Przykład postępu w stosunku człowieka do obłędu i obłąkanych nie jest kazuistyczny. Podobny postęp obserwujemy i na innych terenach: stosunku do dzieci, więźniów, zwierząt, w historji sportu. Trudno powiedzieć, który z tych terenów jest mniej lub więcej ważny dla ogólnego postępu społecznego i etycznego. Odpowiednią ocenę utrudnia np. znaczenie, jakie w życiu współczesnem uzyskał sport.

Ale przykład z obłąkanymi ma jednak szczególny walor. Na pewnej rozprawie sądowej w r. 1934 jeden z najdolniejszych psychjatrów polskich, docent dr. Łuniewski, naczelny lekarz zakładu państwowego w Tworkach, mówił:

„Gdybyśmy, psychjatrzy, chcieli zbadać wszystkich uwięzionych w Mokotowie przestępców, to niewątpliwie u 75 procent stwierdzilibyśmy odchylenia od stanu normalnego i ograniczoną poczytalność. Należałoby więc ich wszystkich umieścić nie w więzieniu, lecz w szpitalu...

W Tworkach przebywa 240 sprawców przestępstw, w tem przestępstw niezwykle ciężkich, ale są to zdecydowanie chore jednostki, natomiast przestępcy o ograniczonej jedynie zdolności kierowania swemi czynami w warunkach obecnych muszą znajdować się tylko w zakładach karnych".

Dr. Łuniewski stwierdził więc, że większość zbrodniarzy to ludzie, którzy zachorowali psychicznie i których należałoby leczyć. Podkreślił słuszność tez socjologicznych, mówiących o tem, że przestępczość jest funkcją stosunków społecznych. I — co najważniejsze — wyjawił prawdę, że stosunki te czynią ludzi najpierw niepoczytalnymi, a potem dopiero robią z nich zbrodniarzy.

Walka ze schorzeniami psychicznemi to walka z przestępczością. Jej rozmiar i rozmach jest uzależniony od ogólnych warunków socjalnych. Perspektywa wydaje się być, tak czy inaczej, nader jasna: i schorzenia psychiczne i przestępstwa będą zanikać w miarę postępów psychjatrji. Dzisiaj nic nie zdaje się wskazywać, aby postępy te zostały w przyszłości zahamowane inaczej, jak przejściowo.

Jesteśmy więc w drodze do „królestwa ziemskiej szczęśliwości"? Zmierzamy do raju, o którym marzyli chiljaści? Ważnym przyczynkiem do odpowiedzi na to pytanie jest statystyka motywów samobójstw. Jak wiadomo im bardziej „osobiste" motywy, tem niklejszy odsetek samobójstw. Na pierwszych miejscach znajdują się przyczyny socjalne (brak pracy, chleba, niewypłacalne długi, niepowodzenie w „interesie"). W ogłoszonej niedawno statystyce samobójstw warszawskich motywy erotyczne np. znajdowały się dopiero na piątem miejscu. A przecież kwestja miłości, małżeństwa i t. d. tkwi również swemi korzeniami — przepraszam za truizm — w ogólnosocjalnych stosunkach, zależy od stopnia dobrobytu, zdrowotności społecznej i inn. (liczba związków małżeńskich, zawieranych rokrocznie w krajach rolniczych, była przed wojną wprost proporcjonalna do pomyślności zbiorów).

O znaczeniu, jakie dla osiągnięcia w przyszłości maximum szczęścia społecznego i indywidualnego będzie mieć realizacja „bzika belferskiego"[2]), streszczającego się w sentencji: „Budujmy szkoły, abyśmy nie potrzebowali budować więzień" — nie potrzebuję na tem miejscu osobno mówić.

Wreszcie przyczynek ostatni (a może najważniejszy?). Według danych Komitetu do walki z kryzysem przy Lidze Narodów w roku 1936 zmarło z głodu 2.400.000 ludzi, 1.200.000 odebrało sobie życie z nędzy, co czyni łącznie 3.600.000 ofiar. W tymże roku 1936 zniszczono 8 i pół miljarda kilogramów art. spożyw. — z tytułu tzw. nadprodukcji. Jak obliczono, wystarczyłoby tych zniszczonych w ciągu jednego roku artykułów na wyżywienie 3.600.000 ludzi przez *trzy lata*. Możliwości produkcyjne pozwalają więc na starcie nędzy z oblicza ziemi. Podstawowy materjalny czynnik zapewnienia szczęśliwości doczesnej wszystkim ludziom — już dziś istnieje.

Taka jest wymowa niektórych rzeczy bardzo prostych.

Konrad Górski zwalcza słusznie wszelką utopijność. Jest to zresztą w gruncie rzeczy wyważanie drzwi otwartych. Nikt dzisiaj nie będzie bronił pomysłów Morusa, Foigny'ego czy nawet Saint - Simon'a. Gorzej, że Górski nie potrafi ocenić historycznej roli utopistów. Jakże inaczej traktuje ją np. Jakób Maritain, który w ostatniej swej książce, „Humanisme intégral", rozróżnia:

„...utopję we właściwem znaczeniu tego wyrazu, utopje, które nie mogą być urzeczywistnione, jeśli wolno się tak wyrazić, ponieważ w pewnym sensie istnieją utopje, które nie mogą być urzeczywistnione" (str. 118).

A dalej mówi:

„...Przeciwstawiając... konkretny ideał historyczny utopji, nie zapoznajemy bynajmniej historycznej roli utopji, a zwłaszcza doniosłości, jaką t. zw. faza utopijna socjalizmu miała dla jego następnego rozwoju" (str. 140).

I zarzuca Marxowi:

„Marx wikła w tej samej krytyce pojęcie ideału i pojęcie utopji, nie może ich rozróżnić; jest to konsekwencja jego odwróconego hegeljanizmu" (str. 141).

O wielkości utopistów nie stanowią te obrazy przyszłości, jakie skomponowali oni, wychodząc z oderwanych zasad. Ich talent (a nawet genjalność) przejawił się głównie w krytyce stosunków im współczesnych. W r. 1825 wybuchł pierwszy powszechny kryzys. Fourier nazwał go odrazu „crise pléthorique" — kryzysem z nadmiaru. Trafił w sedno. Gorzka ironja tego określenia o tyle jest godniejsza uwagi, że przecież Fourier obserwował stosunkowo „mały" kryzys, niezbyt rozwinięty i nado-

[1]) Obojętna pozostaje dla naszych rozważań kwestja, czy Jaurès nie omylił się co do charakteru przyszłej kolektywistycznej fazy ustroju społecznego.

[2]) „Schulmeisterwahn", określenie najwybitniejszego autorytetu pedagogicznego Niemiec hitlerowskich, Ernesta Krieck'a, z książki p. t. „Wychowanie narodowo-polityczne".

ANNA I JERZY KOWALSCY

DWIE SZTUKI

Gdyby na pytanie: jak pracujemy? odpowiedzieć, że wspólne podróże, wspólna lektura, pokrewne zamiłowania stworzyły możliwości współpracy, to w tej odpowiedzi nie odnalazłyby się może rzeczy istotne.

Chociaż właśnie podróże, to nietylko poznawanie krajobrazu lub zabytków, ale to zawiłość losów ludzkich, istniejąca z pewnością i tu, nie tak jednak dostrzegalna, jak w punktach przetokowych: na pokładzie okrętu w nocy, w wielkiej hali dworca londyńskiego, gdzie przy małym okienku sprzedaje się bilety i do Dowru i do Bombaju i do Szanghaju. Kilkanaście zdań Greka, wracającego z Ameryki południowej do ojczyzny, Szwedki, która jechała jako misjonarka do Afryki, Polaków, którzy uwikłali się w małżeństwa z cudzoziemkami i nie mogli już być szczęśliwi w kraju zamożnych żon, ani w ojczyźnie: po kilkanaście takich zdań złożyło się na geografję naszego pisarstwa. Nigdy więcej jak tylko w naszej pamięci, nie zobaczą się podróżni zebrani na jednym statku, kiedy szczerość była tak łatwa, bo prawie bez jutra.

Widzieliśmy już większą część Europy, kiedy pojechaliśmy do Hiszpanji. Od dzieciństwa słyszałam o tym kraju wspomnienia, tam też umieściłam swój raj. A jednak nie była to podróż miła. Po raz pierwszy byliśmy zawiedzeni.

Dopiero po powrocie okazało się, że niełatwo traci się długo hodowaną tęsknotę. Właśnie ta, najmniej udana podróż obudziła nasze pisarskie możności. Powstała „Catalina" i „Mijają nas". Był to rok 1931: król pakował walizki. Studenci ciągle jeszcze sprzeczali się namiętnie o toros. Jedno z pism lwowskich nie chciało naszej Hiszpanji. „Wolimy Hiszpanję z *Carmen Sylvy*" — pisało tonem protestu. Prosimy porównać trzy teksty: Carmen Sylva, nasze opowieści hiszpańskie, i studjum Somerset'a Maugham'a o Hiszpanji. I prosimy sprawdzić dziś, który tekst jest najbliższy rzeczywistości, wtedy tylko przeczuwanej, ale dla pisarza tak realnej jak każda przyszłość.

W „Złotej kuli" dwie opowieści to łup dwu podróży: Mont Blanc i Konstantynopol. Pięć innych należy do bliższego okręgu. Tak trzeba oddalenia, by widzieć życie sąsiadów i słyszeć bicie własnego serca. Trzeba utracić z oczu czerwcowe łąki podlwowskie, by uczuć ich mokrą zieloność w jałowych przepychach Południa. Po długim pobycie na Południu wraca się do twarzy polskich, do samego tonu głosu, z takim pragnieniem, jak do świeżości naszych łąk i do chłodu naszych źródeł. Wtedy odkrywa się o wiele tajniejsze cechy naszej wspólnoty: mina, ruch, spojrzenie jest nasze. Wierzymy więc, że przywieźliśmy z obcych krajów dar gatunkowego widzenia człowieka w jego wielkiej rodzinie. Pragniemy też ten nasz gatunek ludzki odtworzyć, jakby widziany oczami obcemi, a odczuwany sercem tej ziemi.

Niema innej metody współpracy jak współżycie. Może być, że nieraz spółka literacka powstaje na zasadach mechanicznego podziału pracy, jednakże taką spółką literacką nie jesteśmy.

Pisać razem jest sztuką, tak jak żyć razem; jest to w sztuce pisarskiej sztuka druga. Są pisarze, którzy sami jedni pisząc, starają się o podwójne widzenie spraw i postaci literackich, świadomi wielu, a conajmniej dwu rzeczywistości w każdem zjawisku. Nie jest to konieczne, wartość dzieła literackiego nie jest zawisła od takiej wielostronności. Każdy, nawet najjednostronniejszy obraz, może być narzucony czytelnikowi z siłą, która zwycięża prawdę przedmiotową. Jeden pisarz może być w większej niezgodzie z sobą, niż dwie różne osobowości duchowe. Wolno także pisarzowi wydobywać świat zjawiskowy nie z siebie, wolno mu nawet całkowicie wyłączyć się z dzieła. Wolno mu wszystko, byle dał życie dziełu; poetyka jego jest sprawą tak osobistą, że pomylić się w niej może tylko wtedy, jeżeli myli się co do siebie; co do swoich możności i intencji.

Piszemy razem, bo o umówionym świecie. Znając tych samych ludzi i te same stosunki, piszemy o nich własne wersje. Tożsamość przedmiotu jest wiązadłem wystarczającem. Tak dwa aparaty filmowe, nastawione na ten sam przedmiot, dają jedno zdjęcie plastyczne. Ale mechanizm pisarski działa powoli, jest bardziej skomplikowany i niezupełnie zależny od woli piszącego. Nieraz wielu lat potrzeba, aby poznana rzecz ocknęła się w pamięci i podeszła na powierzchnię, by towarzyszyć, być cieniem lub światłem myśli powstałej kiedyindziej u drugiego. Sądzimy oboje, że różnica płci, bardziej od różnic osobistych dwojga ludzi zapewnia globalność spostrzeżeniom. Możliwe nieporozumienia wychodzą w złożeniu obrazu i są usuwane. Ta sama postać lub sprawa widziana i sądzona, z sympatją czy antypatją, nie przestaje być wierna sobie. Jej kontur duchowy jest jakby wynikiem dyskusji i rozprawy, ale często rozstrzygnięcie nie jest potrzebne i rzecz zatrzymuje swą dwulicowość i dwuwierzchołkowość.

Rozszczepienie tych samych doświadczeń i odmienna ich interpretacja mogą wprost być konieczne w montażu nowego rodzaju powieści. Niewątpliwie jednak najważniejsze jest to, że dwoje ludzi ma się stać jednym autorem, który przejęty wyłącznie całością, adoptuje twórczość drugiego, jest zdolny do obojętności wobec własnej pracy. Wydaje się nam nawet, że łatwiej dziełu wyzwalać się od miłości własnej dwóch autorów, niż jednego, a przecież jest sprawą artysty dziełu poświęcić siebie.

Stylistycznie współpraca dwojga nie różni się od kolejnej pracy jednego pisarza nad tym samym tekstem. Jedna chwila nie da mu wszystkiego. Inny dzień, inne usposobienie, świeży przypływ energji wsącza się w pierwszy tekst. Co dla czytelnika jest jednorodne, to pisarz napełniał sobą według swojego licznika; często przeżywał wiele razy ten sam wysiłek, aż mu albo raz sprostał, albo pozbierał się z różnych swoich morf w jedną pełnię. Współczesność odzyskuje się z wewnętrznego ujednostajnienia stanów. Przybywa słowo niedopowiedziane przedtem. odnajdują się powoli początki i końce; rzecz przecież żyje w pisarzu i to, co już znalazło wyraz, jest współczesne z tem, co się dopiero ma spełnić. Otóż to zrastanie się tekstu, przepisywanie jednego poprzez drugi, może być równie dobrze sprawą dwu piór zesynchronizowanych. Dzieło powinno prowadzić te pióra, upominać się o dorysowanie, o tło, o nałożenie barw; ważne jest tylko, aby oba te pióra były pisarskie, a nie, jedno pisarza, a drugie recenzenta. Słowo pisarza ma zdolność kojarzeń, jego komórki zrastają się żywiołowo.

Nie doznajemy trudności w pisaniu, lecz w godzeniu się na to, cośmy napisali. Zostaje poczucie lepszej możności, mocniej przyrosłej i trudniejszej do wydobycia. Jest zawsze podejrzenie zbyt łatwej realizacji. Dzieło chce sobie radzić i poczynać bez nas, sama materja zdobywa sobie prawa i swoją masą chce się toczyć. Czujność pisarza doznaje przećmień, bo pisarz jest w tej samej osobie swoim dręczycielem i swoją ofiarą i przez to jest skłonny do oszczędzania siebie. Otóż, pisząc razem, możemy zadawać sobie tortury, sami ich w tej chwili nie doznając.

Pisząc, pytamy postacie naszego dzieła, jak się czują, nie przewidujemy zaś uczuć czytelnika. Bajki Andersena nie były pomyślane dla dzieci: jest wiele w nich poszlak przeciw temu. Wiele dobrych książek przechodzi w domenę dzieci wbrew wszelkim pomyśleniom ich twórców.

Wolno pisać dla mas lub dla tysiąca wybranych, i można, w ten sposób pisząc, napisać doskonałą książkę; jednakże ona sama postanowi o swoich czytelnikach. Z prostych pobudek pisze pisarz dla współczesnych, a znajduje czytelników po stu latach. Powieści Orzeszkowej i Prusa czytane są dziś przez robotników. Literatura ludowa może zachwycić inteligencję, poezja dworska zejść do dożynków i wesel wieśniaczych.

Interesuje nas nie tyle anegdota, ile przyczyny, wyznaczające bohaterowi takie właśnie losy. Autor nie ma wszechwiedzy epickiej. Równocześnie z bohaterem staje się świadkiem przygody; ale autor przeżywa ją z większą świadomością niż bohater. Dla autora przygoda bohatera jest dokumentem patetycznym. Dola bohatera wisi i nad czytelnikiem: pozyskuje go sobie lub odtrąca. Występ bohatera ma z konieczności ten wtór, a nie chcemy go pozyskiwać podstępem, który jest w każdej anegdocie. Sztuka przestała być iluzją, jest prawdą zdobywaną środkami nieznanemi logice. Powieści o zamkniętem środowisku i o kilku zizolowanych postaciach, powieści doskonałych, bo w tym rodzaju są bardzo możliwe doskonałe powieści, tych powieści powstało tyle, że skolei zaczyna się z nich przelewać w życie. Każda taka powieść jest anegdotą równie zajmującą jak bezzasadną, bo z tych samych założeń otrzymamy nietylko w powieści, ale i w życiu, anegdotę przeciwną. W anegdocie są zawsze pokrzywdzeni partnerzy bohatera; byli takimi, tak się złożyło, ale wielu innych inaczejby się zachowało wobec bohatera.

Pani Bovary mieszkała i mieszka w każdem miasteczku świata, ale pan Bovary niezawsze jest safandułą, kochankowie pani Bovary mogą być zdolni do nierozsądku bez końca, ksiądz i aptekarz uszczelniają tę zbyt prawdopodobną farsę małego miasteczka, w której z dziwaczną nieczułością autor uwięził w osobie pani Bovary jedyną — ale dlaczego jedyną? — możność rozwoju tragedji.

Odstęp między bohaterem a jego tłumem jest kompozycyjny, w sposób, jak sądzimy, uproszczony i staroświecki: bo samowolny. Istnieje szersza możliwość bohaterów, w jakiejś chwili każdy nim jest, przestaje nim być ten, kto się łatwo męczy swoją rolą. Materją bohaterstwa jest wytrwanie w swoim typie, osobne typy bohaterskie prawie z zasady zawodzą w powieści współczesnej.

Dlatego powieść dokoła głównego bohatera zakreśla szerokim łukiem wszystkich ludzi, którzy zadecydowali o jego losach, lub na których życiu zaważyło spotkanie z bohaterem, tak że gdyby ich pominąć, także i bohater byłby w jakiś sposób pominięty.

Powieść o bohaterstwie masowem, zawieszona w sieci doli ludzkiej, nie da się zbić w swojej prawdzie, ale też nie da się wyślęczeć. Wydech pisarski idzie nią, jak łanem, i on to stwarza symfonję wszystkiego, co rodzi ziemia, a nie gramatyka literacka. Dla tej samej więc sprawy wszelkiego stworzenia, znamy łąki i lasy, wśród których wiele czasu spędzamy. Od Gorgan po Łuniniec i wszerz od rogatek lwowskich po Zaleszczyki. Ziemia południa, niezdarzona nigdzie indziej w Polsce nordycznej, jest naszą pracownią pisarską. Nie przy biurku, lecz nad brzegami Dniestru i w jarach Łomnicy napisaliśmy spore części naszych książek. W „Grucach" dziękowaliśmy polanom halnym, drogom wiejskim i niezmierzonym urodzajom pól i lasów, które gościły nasze dość samotne życie. Dlatego bardzo nas cieszyło, że czytelnicy odnaleźli w „Grucach" dech ziemi. Piszemy obecnie dużą księgę bukolik Lwowa, ale miłości ich nie będą idyliczne, lecz bohaterskie. Będzie to w długim rzędzie zjaw rozwinięty pokaz bohaterstw kobiet, które są na nie skazane. Pragniemy długo nie rozstawać się z naszemi bohaterkami, ażeby je oddzielić od ich własnych istnień i uczynić miazgą bohaterską, która jakby obleje i zamknie w sobie trzy postaci tej książki: dwu braci i kobiety między nimi. Będą oni widoczni tylko we wnętrzu zdarzeń, pozbawionych własnego życia, okrzepłych dokoła tych trojga ludzi. Z form tego okrzepnięcia spróbujemy odczytać szyfr trzech istnień, odkleić go od miazgi, jak rysunek paleontologiczny: tak dawny dlatego, że cała przeszłość, która nas określa, chociaż jest tylko współczesna, nie jest jednak tem, czem była, lecz naszym dzisiejszym kształtem. Nie można uciec od niego, bo to jest właśnie kształt naszego życia, pozornie tylko taki, jak kształt dnia. Nie przewidujemy jednak wszystkiego za naszych bohaterów. Czasem oni sami nas przekonywają i to my musimy się uzgadniać z nimi i nawet trochę tak żyć, jak piszemy, bo to jednak bywa mocniejsze, żyć życiem przemyślanem twórczo.

---

miar krótkotrwały. Co nie przeszkadza, że u tegoż Fourier'a znajdujemy myśli bardziej jeszcze naiwne od tych, które cytuje Górski z Foigny'ego.

I tu należy postawić Górskiemu najbardziej ważki zarzut. Wylicza on trzy cechy ideału utopijnego: egalitaryzm, antypersonalizm, statyczność. Dyskredytuje w ten sposób utopijność, nie przypuszczając, że dla jej zdyskredytowania pod względem socjologicznym,wystarczy powiedzieć: punktem wyjścia utopistów były zasady oderwane. Wedle pryncypjów, wymyślonych na podstawie ogólnych rozważań o naturze ludzkiej, utopiści konstruowali obraz przyszłości. Tak np. Foigny wychodził z zasady równości wszystkich ludzi.

Czy nie to samo robi dziś Konrad Górski? Czyż pryncypjalne uprzedzenie do skażonej natury ludzkiej nie dyktuje mu również obrazu przyszłości? Czyż zgóry nie zakłada, jaka ta przyszłość będzie? Czyż nie wychodzi z zasady najbardziej dlań niewzruszonej, a głęboko abstrakcyjnej?

Tymczasem socjologja zna inny punkt wyjścia: objektywny bieg całokształtu życia społecznego. Wykrywanie w konkretnym materjale historycznym pierwiastków rozwojowych. Śledzenie procesów socjalnych (technicznych, ekonomicznych, politycznych, prawnych, etycznych)... i świadome „pomaganie im w posuwaniu się naprzód. Taki jest realizm socjologiczny.

A realizm Konrada Górskiego? Nie jestże on bliższy — w swych fundamentach — utopizmowi? Ponieważ wychodzi z rozważań o człowieku — abstrakcie — z takiemi to a takiemi raz nazawsze właściwościami?

Na zakończenie drobna złośliwość. Górski pisze: „Pozornym wyjątkiem od tej zasady (statyczności — przyp. red.) może się wydawać marxizm ze swoją teorją djalektycznego rozwoju, ale zważywszy, że ostatecznym celem tego rozwoju ma być stworzenie bezklasowego społeczeństwa, musimy uznać marxizm za kierunek, hołdujący ideałowi statycznemu i utopijnemu".

A jednak Maritain twierdzi w „Lettre sur l'Indépendance" (wydanie II, str. 16), że chrześcijanin powinien pracować „dla wspólnej budowy społeczeństwa, które będzie pozbawione, nie powiadam, że wielkiego zróżnicowania, lecz obecnego podziału na klasy". Wyraźnie. Nawet nie „podział na *obecne* klasy", a „*obecny* podział na klasy". Czyżby Maritain, myśląc o przyszłem życiu bezklasowem, ulegał zgubnym podszeptom marxistów? A może nawet — anarchistów?

Zygmunt Jarosz

IZYDOR BERMAN

CO TO JEST SZMONCES?

Pierwsza przejażdżka po Nowaczyńskim

I wycina, przykleja
I cytatki dobiera
I chichoce, chichoce
I aż rączki zaciera.

Jak przyklei, jak zlepi
Taki cały fascykuł,
To w A-B-C lub w Ge-Wu
Jest nazajutrz artykuł.

Juljan Tuwim („Jarmark rymów“).

Co to jest szmonces?

Jest to — w węższem znaczeniu — rodzaj niewybrednej anegdoty na temat żydowskich śmiesznostek lub przywar, albo też anegdoty na temat obojętny, lecz zachowujący w formie żydowski typ rozumowania i dowcipkowania. W szerszem znaczeniu, szmoncesem nazywamy wszystko, co nie jest poważne, co jest puste, błahe, powierzchowne, liche, bezwartościowe, przeciętne i cyniczne.

Po tym króciutkim wstępie możemy przejść do Nowaczyńskiego. W szczególności mamy ochotę przypatrzyć się jego polszczyźnie. Jest bowiem rzeczą zupełnie niepojętą, wręcz tajemniczą, jakim sposobem pisarz ten, operujący najobrzydliwszym żargonem, reprezentujący klasyczny wzór złego smaku, czczego werbalizmu, wodnistej tautologji, pretensjonalnej i efekciarskiej paplaniny, podszytej blagą i zaprawionej bluffem, zdołał sobie wyrobić markę. Być może, skromne warunki, w których rozwija się piśmiennictwo polskie sprzyjało powstaniu tego przykrego nieporozumienia. Ale my nie będziemy tu tropili przyczyn groteskowej karjery. Nam idzie o fakt. O wykazanie niewątpliwej tandetności „stylu“ Nowaczyńskiego, przyczem nie z naszej już winy (styl to człowiek), z ciemnych dymów adolfowej mowy niejednokrotnie ukaże się wykrzywione złośliwie oblicze jednookiego paszkwilanta. Charakter i mentalność („bohater“ mój powiedziałby „mendalność“) odzwierciedlają się przecież w sposobie pisania, kształtują każde zdanie i jego rytm. Jak tu mówić o chwytach i trickach „stylistycznych“, opartych na insynuacjach, podstępnych domyślnikach, perfidnych aluzjach, sztucznych i wydmuchanych konstrukcjach, jak mówić o tem wszystkiem, ograniczając się do zewnętrznej formy języka i nie potrącając o *morale* piszącego? Niepodobna. Tyle tylko, że punktem wyjścia naszych obserwacyj będzie właśnie — język i styl.

Uczciwość nakazuje mi zaznaczyć, że już Stanisław Brzozowski pisał („Współczesna krytyka literacka“, str. 66) o „polichromicznym żargonie Nowaczyńskiego“, Czachowski zaś w swoim „Obrazie współczesnej literatury polskiej“ pisze: „wiedzy miał sporo, ale używał jej wykrętnie, niezawsze umiał jasno i poprawnie się wyrażać, choć się o polotność i błyskotliwość stylu ubiegał“.

To, o czem inni już mówili, chcę teraz bliżej przedstawić. A to zanim Nowaczyński zostanie członkiem PAL-u, co w naszych stosuneczkach wcale nie jest wykluczone. A więc przedstawiajmy, to znaczy poprostu cytujmy.

Gdyby mi redaktor „Sygnałów“ oddał do dyspozycji wszystkie kolumny 6 numerów pisma, mógłbym je naszpikować cytatami dla poparcia mojego stanowiska. Mam jednak tylko trzy szpalty i muszę się ograniczać. Dlatego posegregowałem sobie materjał zebrany z publicystycznych i literackich artykułów (i zbiorów) Nowaczyńskiego na grupy, na pewne typy lub figury, charakterystyczne dla jego sposobu wyrażania, ukrywania i zaciemniania myśli.

Kalamburki i złośliwe nowotwory autora

Jedną z najczęściej stosowanych ozdób stylowych Nowaczyńskiego to kalambury. Podaję małą kolekcję tych koszmarności, pokrywających zgangrenowany tekst jak wrzody i pryszcze:

sleepinggiganty, te - urbaniści, autoreklamery, skeczokiety, lirykerle, dyktatorżniki, jazzbandosy, emigrandzi, pacyfistul, Arjopag, jidea, żargonauty, kohngresy, fosgenjusz, karyka - minia - tury, kokiet, wyśmiewcy, uczeniec, wiedzowiec, nieudacznik, stołecznik, defetyszyć itd. itd., aż do utraty przytomności.

Autor posiada świetny środek dla robienia siły i krzepy. Posługuje się przytem z wielką wprawą specjalnemi końcówkami, co brzmi nieraz wytwornie np. *dramatysta, adorant, kokiet, plecyska, strachajło* itd.

Autor jest dowcipny

Dużo inwencji wykazuje autor w dziedzinie humorystyki słowa. Np. *pryncypały i pały, prosper—i—ty, naga—dać, „zawód żony wielkiego człowieka, przeważnie też przynosi ...zawody“.* (Zwracam uwagę na filuterny trzykropek). *„Mniej sympatyczni są tylko męczennicy, bojownicy i cierpiętnicy, którzy za swe apostolstwo tylko... czerpią“.* (Jest to t. zw. finezja, czyli *Witz und tiefere Bedeutung*).

„Żona Carlyla nie mogła tego (t. j. chimer męża) *znosić zbyt długo. Zachorowała na raka i w r. 1865 cicho usunęła mu się z widoku“.* (Proszę zrozumieć: nie mogła znieść brutala i wobec tego dostała raka. A potem cicho — a wcale nie głośno — sobie biedaczka umarła. Rak i cicha śmierć, czy nie jest to bardzo nastrojowe?)

„Często grywa i na organach w niedzielę i święta w klasztorze w Czerwińsku dla pobożnych może Cherubiniego, może Palestrinę (o Palestynie i dla Palestyny niema wtedy mowy“). — Nawias ten jest równie uczony jak dowcipny, to widzi ślepy.

Niby na zakończenie. *„A że było to za czasów „królowej Ester“.* (Mowa o Sowietach — a jaką autor potrafi otworzyć przytem historyczną perspektywę!)

Trojaczki i pięcioraczki autora

Barwę i żywość stylu autor urabia prostym przyrządzikiem, który nazywam trojaczki, a który polega na upartem powtarzaniu w kółko tego samego, czyli na przelewaniu — powiedziałbym — z próżnego w puste. Np.:

„w literaturze wyedukowali sobie, wypielęgnowali, wyhodowali“, „Wszystkie te ułomności, przywary, przymioty, zalety, wady, mankamenta, urody, cudowności ale i nieprzyjemne strony... tych panów i suwerenów występują w nadmiarze, w profuzji, w przesadzie i w napuchliźnie“. (To „ale“ jest szczególnie kochane.) — *„bezdramatycznie, poprawnie, patrjarchalnie, przykładnie, wzorzyście, modelowo“* (wpada mi na myśl, że widocznie to jest płacone od wiersza?!!) Albo: *„zbieracz, kolekcjonista, ciułacz“, „zagadka, szarada, krzyżówka“, „książka moja jest sobie zbiorem, doborem, pokłosiem“, „twórczość ich odpylano, czyszczono, przykrawano, skracano, adaptowano i par force inscenizowano z wielkiem larum i gaudium“...* (To się poprostu widzi, co? Plastyka, panie!).

Szczególne piękno stylu autora

„Autor, dramatysta, który ma to szczęście wyjątkowe, że jego dzieła sceniczne jedno po drugiem incorporowane są w teatrach i realizowane pomimo zawierania w sobie immanentnych wartości i walorów literackich, literacko - społecznych, literacko - historyczno - politycznych, autor słowem taki, który scenę uważa także i za trybunę na agorze czynu i za kazalnicę w świątnicy Słowa — poczuł w sobie imperatywny mus przypomnienia współczesnym takiego dramatysty“ itd. (Nie mam sił do przepisania całego zdania. W każdym razie zdanie to należy przeczytać sobie trzy razy na głos, a wtedy dopiero odsłoni cały swój czar i urodę, i urok, i piękno i ...o przepraszam... Nowaczyński jest zaraźliwy.)

Ale brnijmy dalej przez piękno:

„Na zachodzie idzie w lewo“, „skondensowany djalog, a dialektyczne delikatessy i finessy“. (To jest lekkość i pianka!).

„O materjały na suknie w Sowietach trudno i skweres i rarytas“.

Z artykułu o kastracji: *„Chwila szału folga ciału“, „Lecz kto płacił alimenta, ten to sobie zapamięta“, „Pomnij o skutku namiętny filutku“, „Teraz gimnastyka a potem klinika“.* (To jest wdzięk najgłośniejszego w Polsce „cytatologa“).

Autor jest uczony

Autor jest uczony i zna języki. Artykuły jego inkrustowane są gęsto wstawkami z obcych mów, co imponuje i pachnie Zachodem. Na jednej małej stroniczce (z tomu „Tylko dla pań“) można przeczytać: *„vanity fair, conspiration du silence, splendid isolation, ultra crepidam, play wrights, par inter pares, chamberplays, lorgnon i face—a—main“.* Rosjanie to jest z brawurą i nonszalancją wprost rzekłbym fosforyzującą, nic dziwnego, człowiek był w świecie, prawda, podróżowało się wiele, ma się maniery i wogóle... Znakomity pisarz, krytyk i humorysta austrjacki Alfred Polgar powiedział kiedyś o kimś: *„Ich weiss nicht: ist er wirklich so gebildet oder hat er zu Hause ein Lexicon“.*

Wieszam na autorze ostatniego pieska

Będzie tu w nieco chaotyczny sposób mowa o innych właściwościach „prozy publicystycznej“ Nowaczyńskiego, które nie dały się ująć w jakiś wspólny mianownik.

Gadulstwo autora więcej niż często kłóci się z logiką. Np. *„Ponieważ po pierwsze zależało na pośpiechu, a po drugie zależało na czasie“.* (Zwłaszcza to drugie jest bardzo ważne i bez tego pierwszego niezrozumiałe!) Albo: *„Pewien krawiec polski wszył cesarzowi Wilhelmowi do rękawa kawał płótna z napisem „Niech żyje Polska!“* Konkluzja autora jest taka: *„Czy Wilhelm II przeczuwał, jakie napisy nosi na lewej suchej ręce? Oczywiście, że nie. A jaka stąd nauczka? Więcej skromności osobistej panowie bracia i więcej szacunku dla przyrodzonego wszystkim śmiertelnikom pędu do wolności...“* (To takie proste, isn't it?).

Pisząc o Woronowie i Steinachu, dodaje Nowaczyński „prof“ w cudzysłowie i zaznacza, że są wyznania M. (Jest to dowcipne i nasuwa przeróżne domysły.) Autor na swój sposób urabia prawdę historyczną. Np. na stronie 121 czytamy: *„Z Norwidem* (pani Nesselrode - Calergis) *zetknęła się w Rzymie i tam złamała go na całe życie ta miłość nieszczęśliwa, n i e o d w z a j e m n i o n a“* (podkr. moje). Na stronie 123 („Tylko dla pań“): *„Ta, która w zaraniu życia przytulała się do Chopina i Norwida“* — (Czego się nie robi dla pięknych, ckliwych obrazków. Jak trzeba, to się nie odwzajemnia, jak trzeba, to się przytula. Byle handel szedł.)

Jeszcze historja *„Z nazwiskiem Bonaparte czy Mussolini można zrobić błyszczącą karjerę choć jest czterozgłoskowe. Z nazwiskiem Schickelgruber... wykluczone. Można było obrzezawszy niejako zostawić samo Gruber. Wybrano Hitler. No i trzeba przyznać, że już się jakoś utarło. I ludziska powoli się przyzwyczajają“...* (Wybrało się i utarło się jakoś, panie. A z Neuwertem trudno jest robić karjerę...).

Tomy możnaby pisać o dyskretnie wplecionych insynuacjach autora, gdy naprzykład wyraża zdziwienie (tylko zdziwienie) dlaczego w sztuce Nałkowskiej „Dom kobiet“ niema mowy o Bogu, a zaraz potem mówi się o celowem „zatajaniu Boga w Polsce“. (że też Pan Bóg na to pozwala i sam nie daje o sobie znać, skoro go już Nałkowska zataja?!) Albo autor dziwi się bardzo, czemu Otmar (były korespondent sowiecki „Gazety Polskiej“) specjalnie mało pisze o szefie G. P. U., przyczem trzykropkiem mruga do czytelnika, który już wie — dlaczego...

W równie mistrzowski sposób operuje Nowaczyński *„raczejami, poniekądami, bądźcobądziami“*, zostawiając domyślnemu czytelnikowi jak najszersze pole do działania. Ale o tem kiedyindziej obszerniej.

Prawdziwą manją i megalomanją jest rozdawanie upominków. Autor odkrywa bez przerwy nietknięte skarby historyczno - literackie, w skromny sposób dodaje, że nikt u nas jeszcze nie pisał, poczem rzuciwszy kilka mglistych uwag, dodaje: *„hajda poloniści czy romaniści, zabierzcie się do tej złotej żyły!“*. On Nowaczyński wybiera się bowiem po dalsze wstrząsające odkrycia. Dziwne, że jakoś z jego odkryć do dziś nic nie wyszło. Nawet ten słynny polski lekarz, co miał zakasować i do mysiej dziury zagnać Steinacha, do dziś znać o sobie nie daje. Przykładami na ten temat nie będę już nudził, każdy je z łatwością odnajdzie w każdej książeczce autora. Rewelacje te zaczynają się od zdań: *„Nie wspominają o tem żadne wydawnictwa polskie, ani antologje...* Albo: *„O tem to już chyba nikt a nikt nie będzie wiedział u nas, a bardzo niewielu w Niemczech...“* (Jak to dobrze, że go mamy!).

Cytat i dwa pytania

Czachowski mówi o Nowaczyńskim w wspomnianem już przedtem dziele: „Humorysta to wprawdzie ponury... gdy bobruje po rozmaitych lądach obcej twórczości, aby na wydobytej stąd kanwie myślowej snuć własne impresje intelektualne. Rzeczy to nagół o dość wątpliwej wartości informacyjnej, bo jak już dawno zauważono, Nowaczyński ma zdolność pisania wszystkiemi językami, których nie zna, naśladowania wszystkich stylów, których nie czuje. Ale umysł ogromnie ruchliwy i bezczelnie odważny, zajmujący jest nawet wtedy, kiedy po dyletancku partaczy... Intelektualizm, którego jedynym celem pławienie się w duchowej rozpuście; wynikiem zupełny amorfizm intelektualno - ideowy. Rabunkowa gospodarka talentu, oparta na wyłgiwaniu się od poważnego stosunku do życia, od osobistej odpowiedzialności estetycznej i etycznej, czego nie pokrywają najśmielsze buffonady... Toteż niesmak wywołuje N. wtedy, gdy usiłuje nauczać, gdy śnią mu się romantyczne laury wróżbity apostoła...“ itd.

Dwa pytania.

Czy powiedziałem, że Nowaczyński to — nic? Nie. Jest on trzeciorzędnym, zajmująco blagującym feljetonistą, piszącym obskórnym żargonem, feljetonistą, który tak sprytnie potrafił zabluffować opinję, że pozwoliła mu dopchać się do pierwszych rzędów.

Dlaczego pomijam inne prace Nowaczyńskiego, np. dramaty historyczne? Bo piszę „pierwszą przejażdżkę“. Szopki historyczne (a nie żadne dramaty) autora będą przedmiotem dalszych wycieczek.

Brzozowski napisał: *żargon* („Współczesna krytyka literacka“. Wyd. Staudachera, Stanisławów). Czachowski napisał: *amorfizm intelektualno - ideowy.* Mojem skromnem zadaniem było tylko udokumentowanie tych dwóch twierdzeń.

JAN MARTYNOWICZ

MIECZYSŁAW SZCZUKA

Niedawno minęło dziesięć lat od czasu śmierci Mieczysława Szczuki. Jego krótkie, jeśli idzie o lata, życie — urodzony w r. 1899 w Warszawie, zginął w Tatrach podczas wyprawy górskiej w r. 1927 — zawiera działalność, która dałaby się wyczerpać chyba w gruntowniejszem studjum — niezawodnie kiedyś będzie ono napisane. W niniejszym artykule trudno wykroczyć poza suchy kronikarski zarys, dający z natury rzeczy pojęcie nader niepełne.

Szczuka wszedł w życie artystyczne Warszawy w okresie wielkiego przełomu, który oznaczają lata 1917 i 1918 r. Już w końcowym okresie pobytu w Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych zdobył sobie pozycję przewódcy odłamu ówczesnej lewicy artystycznej. Górując nad swymi kolegami talentem, kolosalną pracowitością, wynalazczością i temperamentem, Szczuka posiadał jeszcze umiejętność patrzenia i widzenia dalekiego, wychodzenia poza ciasny horyzont „artysty malarza", poza sekciarskie kulty kapliczkowe, zdolność dostrzegania nowej rzeczywistości społecznej. Nie ulega wątpliwości, iż ewolucja Szczuki od retrospektywizmu do nowotorstwa w dziedzinie formy, od „czystej sztuki" do sztuki utylitarnej, podporządkowanej sprawom socjalnym, wreszcie od mistyki do materjalizmu i marxizmu była procesem długim, męczącym, pełnym nieraz pozornych sprzeczności.

Wyrosły w środowisku konserwatywnem, w tradycjach nacjonalistyczno - religijnych, jako wyrostek rozczytujący się w Biblji, przeniknięty sugestjami wielkiej sztuki religijnej tak przemawiającemi do wyobraźni plastyka, z trudnością poszukiwał nowego języka, nowego sposobu wypowiedzenia się. Występuje tu jakby usiłowanie połączenia nowych pojęć, nowego języka ze starym, usiłowanie nowego zużytkowania starych symbolów i ich znaczeń. Dobitnem świadectwem jest szereg kompozycyj z okresu 1918—19, gdzie radykalna treść społeczna usiłuje się przebijać w formach mitologji religijnej. Postać Chrystusa traktowana jest w duchu rozpowszechnionych pojęć o roli chrześcijaństwa, jako rzecznika biedaków i uciemiężonych. Chrystus przed sądem polowym, Chrystus jako robotnik (na tle współczesnych motywów wojennych) stanowi swoistą próbę przedstawienia „dorobku" wojny. (Wogóle traktowanie postaci Chrystusa, poczynając od pierwszych akademickich kompozycyj poprzez „Nie wiedzą, co czynią", „Pocałunek Judasza", aż do ostatniego szkicu „Oddajcie cesarzowi, co cesarskie" — ostrej, brutalnie satyrycznej rewizji legendy — zasługiwałoby na specjalne rozpatrzenie. Posiada ono pewne analogje w literaturze i poezji współczesnej).

Te prace młodzieńcze zwracały uwagę rozmachem, subtelnością wyszukaną, a zarazem szeroką skalą zainteresowań. Są tu wielkie kompozycje o treści biblijnej, uderzające zwartością, siłą wyrazu, a zarazem wyszukaniem stylizacyjnem, obok majstersztyków rysunku naturalistycznego. Stopniowo głębokie odczucie problemów czasu skłania Szczukę do radykalnej rewizji zarówno tradycyjnego bagażu patrjotyczno - religijnego jak i tradycyjnego poglądu na zadania i rolę sztuki. Rozpoczyna się okres „nowatorstwa i eksperymentowania". Ewolucja ta jest głęboko organiczna, niema w niej nic narzuconego z zewnątrz lub przypadkowego.

Pierwsza wystawa prac Szczuki w maju 1920 roku w Polskim Klubie Artystycznym miała charakter eksperymentatorski i burzycielski. Stanowiła zresztą wyraźny rozbrat z temi przejawami, które na tutejszym gruncie uchodziły za ultranowatorskie (ekspresjonizm i formizm). Burząc kanony dotychczasowej kompozycji, Szczuka przeprowadza drobiazgowe studja „laboratoryjne", które przez „kubizm" przedmiotowy i abstrakcyjny doprowadzają go do wniosków analogicznych z kierunkiem suprematyzmu (szkoła Kazimierza Malewicza — Szczuka prowadził swoje poszukiwania niezależnie i dopiero w parę lat potem zaznajomił się z pracami tej szkoły). Szczuka zresztą szedł dalej, nie zatrzymując się na formułkach, w których utkwiło malarstwo abstrakcyjne. Komponując obraz płaski łącznie z nowemi elementami, rozbija obraz w ramie i dochodzi do komponowania obrazów wielopłaszczyznowych, przestrzennych, z rozmaitych materjałów: drzewa, żelaza, szkła, betonu, gipsu. Przy całym negatywnym stosunku do tematowości w obrazie, te kompozycje mają sporo literackości, skondensowanej i często energicznie podkreślanej. Jeśli owocześni esteci kręcili głowami z nierozumiejącem zdumieniem, patrząc na wystawę Szczuki jako na wybryk zwichniętego talentu, to jednak pomogła mu ona na pewien czas — stosunkowo krótki — zgrupować koło siebie grupę lewicy artystycznej.

Szczukę te jego prace prowadziły poza malarstwo w dziedziny nowe: teatr, film abstrakcyjny, zagadnienia graficzne. „Literatura", którą krytykowali przeciwnicy, prowadziła do nowego ujmowania zagadnień plastyki. W maju 1923 r. z inicjatywy dyrektora berlińskiego „Sturmu" odbywa się w Berlinie wystawa prac Szczuki (wraz z Teresą Żarnowerówną). Szczuka przysłał swoje konstrukcje przestrzenne, projekty pomników (Krapotkina, Dostojewskiego, Bakunina, Zamenhofa), projekty teatralne, obrazy abstrakcyjne. Specjalny dział stanowią kompozycje literacko - rysunkowe, złożone przeważnie z jednego lub kilku zdań, wkomponowanych w barwny kształt plastyczny.

Wystawa ta spotkała się z dużem uznaniem w berlińskiem środowisku artystycznem, o wiele bardziej zaawansowanem niż warszawskie.

W tym okresie pracuje usilnie nad filmem abstrakcyjnym. Wykonywa trzy filmy, do których zrobił około 2000 rysunków (prace nad filmem abstrakcyjnym były wówczas nowością) oraz cykl obrazów abstrakcyjnych tzw. „fakturkontrastów". Pierwszy w Polsce zajmuje się fotomontażem, analizując jego specyfikę. Fotomontaże Szczuki pozostały bodaj nieprześcignione po dziś dzień.

Już w r. 1923 Szczuka dochodzi do wniosku, że konstruktywizm abstrakcyjny, konstrukcje przestrzenne i cała sztuka abstrakcyjna mają znaczenie czysto laboratoryjne. Wnioski, wysnute z trzeźwej analizy stanu ówczesnej sztuki modernistycznej m. in. zaczerpnięte z doświadczeń wystawy berlińskiej i wejścia w kontakt z modernistami zachodnimi, doprowadzają go do radykalnego rozprawienia się z hasłem „sztuki dla sztuki" w imię sztuki utylitarnej i wyraźnego programu społecznego. Łączy się to ze zbliżeniem z owoczesną lewicą robotniczą. Współpraca z pismem „Nowa Kultura" zwróciła Szczukę w kierunku drukarstwa, które pociągało go zresztą oddawna.

Stykając się na gruncie praktycznym z takiemi zagadnieniami, jak kompozycja stronicy, dobór czcionek, ma możność wykorzystania eksperymentów dawniejszych w dziedzinie malarstwa nad zagadnieniem kompozycji płaskiej i jej konstrukcji. Zmuszony liczyć się z ubóstwem materjalnem pisma, wkładał jednak wiele wysiłków w układ, zmieniając radykalnie realizację graficzną. Duże znaczenie ma dla niego — również zakreślona wąskiemi ramami konieczności materjalnych — praca w studjo Teatru Robotniczego. Tu próbuje znaleźć zastosowanie dla swych eksperymentów w dziedzinie konstrukcyj wielopłaszczyznowych. Niestety, studjo przestaje istnieć, zamknięte przez policję.

Podnieść należy jedno: Szczuka w tej pracy obcy był względom fałszywej „ascezy" umysłowej, którą uprawia wielu inteligentów, pracujących dla robotników, motywując to względami popularności i masowości (co zresztą stanowi najczęściej pozę, pokrywającą lenistwo umysłowe).

Współpracując z organizacjami kulturalnemi proletarjatu, mimo ciężkich skądinąd warunków Szczuka nie rezygnuje bynajmniej z pracy eksperymentatorskiej, opracowuje sposoby oddziaływania przez nowe pomysły graficzne (szereg świetnych projektów plakatowych m. i. „plakat amnestyjny" z 1926 r.).

W 1924 r. powstaje zorganizowane przez Szczukę czasopismo „Blok", koło którego skupia się grupa plastyków. Szczuka zajął się rozpowszechnianiem nowych układów graficznych i znalazł wkrótce naśladowców. Stopniowo jednak wysuwają się na pierwszy plan w jego zainteresowaniach studja nad zagadnieniami architektonicznemi.

Już przy pierwszych numerach „Bloku" powstają tarcia, z których wynika rozłam*). Wkońcu w redakcji zostaje tylko Szczuka i Żarnowerówna, odbija się to na zwartości pisma coraz mniej uwzględniającego sztukę abstrakcyjną i coraz większy nacisk kładącego na budownictwo. Ostatni numer 11. „Bloku" poświęcony jest międzynarodowej wystawie nowej architektury, która się odbyła w Warszawie z inicjatywy grupy m. in.

Zajęcie się architekturą wynika u Szczuki logicznie z całej jego ewolucji artystycznej (początkowo korzysta z pomocy zawodowych architektów). Tworzy szereg wielkich projektów urbanistycznych. W tej dziedzinie również działalność Szczuki miała w Polsce znaczny wpływ, choć nie miał możności realizacji praktycznej swych pomysłów.

W marcu 1927 roku zaczyna wychodzić pismo „Dźwignia" pod redakcją Szczuki. W piśmie tem bierze udział szereg marxistów; poglądy samego Szczuki już się wydatnie zbliżyły do marxizmu. Zdołał wydrukować jedynie pierwszy z zapowiedzianych artykułów p. t. „Sztuka a rzeczywistość". Zamierzał on opracować cykl artykułów oświetlających pozycję sztuki w społeczeństwie klasowem, ewolucję prądów artystycznych, kwestję powstawania stylów i t. p. Obok bogatego materjału historycznego, zużytkował bliższe własne doświadczenia z walki kierunków i prądów w tej przełomowej niewątpliwie dla sztuki epoce. Ukazał się jedynie pierwszy z zapowiedzianych artykułów. W tym zwrocie do działalności teoretycznej wyrażała się konieczność, — jak to już nieraz było w czasie jego burzliwej działalności — rewizji poglądów, odrzucenia nalotów przypadkowych od rzeczy istotnych, przetrząśnięcia własnych doświadczeń. Zwykle poprzedzało to zresztą u niego nowy etap w działalności „praktycznej". Ten nowy etap nie nastąpił...

Przegląd powyższy nie obejmuje bynajmniej całokształtu działań Szczuki, poczynań, inicjatyw, które w trudnych warunkach kraju uległy wbrew wszelkim wysiłkom zagubieniu i rozproszeniu. Śmierć dosięgnęła go w dwudziestym ósmym roku życia — na właściwą działalność przypada z tego kilka lat zaledwie. Borykanie się z ciężkiemi warunkami, z niedostatkiem osobistym, z brakiem środków na dokonanie prac zamierzonych, pochłonęło nieproporcjonalnie dużo jego energji. Charakter bezkompromisowy, bojownik i organizator, obcy wszelkiej łatwiznie i liczeniu się ze względami konjunktury, pracował dla przyszłości, otwierając nowe perspektywy. Szczuka należy do tych postaci, których znaczenie wyrasta poza ich epokę.

*) Większość grupy zdradzała zainteresowania typowo malarskie; traktowali oni swoją „awangardowość" jako cel sam w sobie. Szczuka uważał modernizm za przebyty już etap pracy laboratoryjnej. — Jeżeli oświadczał o sobie, że jest konstruktywistą, to w szczególnem znaczeniu, mało mającem wspólnego z tem, co się pospolicie określało tem mianem. Dużą rolę odgrywały też poglądy społeczne Szczuki, zbyt radykalne dla grupy.

STANISŁAW JERZY LEC

SCENARJUSZ DNIA

FRAGMENT POEMATU

Już dzień się błękitem poprzez niebo łamał
Negliżem tylko świeciły obłoki bez spodni
A z dachów szpiclowano ciszę —
W przerażonych bramach
Ginęli zagubieni w epoce przechodnie.

Na bruku stały kozły ofiarne —
Trójnogi z karabinów
Lecz Pytji nie pytał nikt.
Kolporterom zatkano gardła
Plastrami plakatów
I mózgi do serc kołatały
Po wrzący obfity wikt.

Śródmieście osierocił ostatni przechodzień
Ulice pustką dudniły jak brzuch
A tylko na wielkim placu
Stał ślepy garbus jak codzień
I ciurkiem opiewał
Świetność rogowych grzebieni
Daremnie jak codzień
I głuchł.

A na głównej ulicy, która od rana
Siniała głuchą tęsknotą za ludźmi
Po której z szybkością błysków w mózgu komen-
[danta
Gnała pancerna karawana —
Na tej ulicy — niedbale —
Na przewróconym kiosku
Podścieliwszy ostatnią gazetę
Siedział dmiąc niedopałek
Szatan

I patrzył na wszystko beztrosko
— Rzekłbym: z objektywizmem
Ponadklasowych poetów. —

(Mowsze Efraim Szatan
Nieślubny syn Zysli
Żołnierz Wielkiej Wojny
Który w okopach Szampanji
Utracił zmysły
A zyskał umysł spokojny).

A patrzył na wszystko beznamiętnie
I myślał o tem jak się okna mienią
I tylko słuchał jak pięknie
Ślepy garbus śpiewał rogowym grzebieniom.

MARJA KOSZYC-SZOŁAJSKA

DZIECIŃSTWO BEZ PACIERZY

Zbigniew Uniłowski: 20 lat życia. Warszawa, J. Przeworski, 1937.

Każda literatura ma swego Oliwera Twista. Nie miała go literatura polska i dopiero niedawno lukę tę wypełniła powieść Uniłowskiego „20 lat życia". Wszelkie dotychczasowe „żywoty cielęce" w literaturze polskiej nosiły — z małemi wyjątkami — charakter sielsko-anielski, co się tłumaczy po pierwsze: szlacheckim charakterem kultury polskiej i co zatem idzie, dość wysoką stopą życiową środowiska, w którem bohaterowie różnych historyj dziecinnych wzrastali, — po drugie: właściwą psychice polskiej fałszywą wstydliwością, która też pisarzom z innych środowisk kazała się podciągnąć do istniejącego poziomu i zmusiła ich, zupełnie zresztą niepotrzebnie, do wygładzenia i, że tak powiem, wyprania i wyprasowania prawdziwego oblicza nędzy, aby wszystko wyglądało przyzwoicie, zupełnie jak u innych, aby, broń Boże, nikt się nie dowiedział, że u państwa X czy Y nietylko nie było nieodzownej służącej, która już o świcie „wyglancowała" „państwu" buty, ale że, być może, nie było i samych butów. Toteż doniedawna rzeczą daremną było szukać w literaturze polskiej Hamsuna, Gorkiego, Panait, Istratiego, Finka, czy kogoś podobnego, daremne było szukać i Oliwera Twista. Jeśli były robione pewne próby, były to zazwyczaj fragmenty, które grzeszyły inną przesadą: przeczuleniem i ckliwością. Teraz obraz się zmienia: jest coraz więcej szczerości, coraz więcej pisarzy z innych klas, i dlatego pomału się dowiadujemy, że obok sielsko-anielskiej istniała inna strona życia, obok słodkiego i beztroskiego dzieciństwa z ciepłem, czystem łóżeczkiem, z błogiem, w atmosferze dostatku i spokoju odmawianiem pacierzy i pocałunkami „nadobranoc" istniało inne: brutalne, bez pieszczoty, bez uśmiechów, głodne i chłodne, czasem tak tragiczne, że wydające się aż nieprawdopodobnem, jak n. p. w „Zmorach" Zegadłowicza. I ciekawe, i szczególnej godne uwagi, że społeczeństwo, przyzwyczajone do zachowywania pozorów, do ukrywania załamań wszelkiego rodzaju, nie potrafiło dostrzec w „Zmorach" najstraszliwszej tragedji dzieciństwa, lecz właśnie całą uwagę skierowało na rzeczy i szczegóły drugorzędne, które „ludzi przyzwoitych" tylko oburzyły i w tem „świętem oburzeniu" kazały przekreślić dzieło w pewnym sensie jedyne może w literaturze świata. Dawka szczerości dla czytelnika, nieprzyzwyczajonego do niej, okazała się zbyt silna, więcej: wprost zabójcza. Podobną szczerość mógł czytelnik polski darować pisarzowi obcemu (niechby to pisał sobie Céline!), ale nigdy swemu. Obrazy dzieciństwa tragicznego, przedstawione w formie bardziej łagodnej, przyzwoitej, znajdujemy i w powieściach Rusinka i w „Moim Żyrardowie" Hulki - Laskowskiego i w „Ślepych torach" H. Górskiej, ale we wszystkich tych dziełach mamy tylko mniejsze lub większe fragmenty, natomiast całą historję niedoli dziecka, jego przeżyć i odczuwań daje powieść Uniłowskiego.

Życie Kamila Kuranta, biednego chłopaka, którego matka umarła na suchoty, a ojciec ciągle przesiadywał w więzieniu za różne oszustwa i fałszerstwa, życie na łasce u biednych ciotek, zarabiających na utrzymanie szyciem kamizelek, życie całej biedoty miejskiej — rzemieślników, szwaczek, chałupników — tchnie taką prawdą, taką prostotą i szczerością, że, zdaje się, wystarczy zejść tedy, na Powiśle, a zobaczymy ludzi z powieści Uniłowskiego i już tembardziej bez trudu znajdziemy całą wspaniałą galerję typów „knajaków nadwiślańskich", rozpoznamy ich po bogactwie i swoistem pięknie tej mowy „jędrnej i soczystej", którą rasowy knajak Heniek, zwany „Brunetem", tak górował nad „ubogiem językiem" mazurki - Zośki. Świetne są w powieści typy proletarjackich chłopaków — różnych Kazików, Marków, Janków. Uderzająca jest siła żywotna i pomysłowość tych maleńkich, ubogich ludzi, chcących za wszelką cenę nietylko się utrzymać na powierzchni życia, ale także i uszczknąć coś z przyjemności świata, „z iluzjonu". Marek zakłada na podwórzu fabryczkę papierosów, wyrabianych ze zbieranych na ulicy niedopałków przeważnie w tym celu, aby było na „iluzjon". Janek, czeladnik szewski, sceptyk i filozof, nikomu nie wierzy i żyje pochłonięty jednem pytaniem: „gdzie się kończy świat", bo w tem widzi sens wszystkiego, całego życia. Nanic wszystko, skoro się tego nie wie, reszta — to bzdury, którymi „klechy naród tumanią". Janka trudno już tumanić: przejrzał fałsz otaczającej go rzeczywistości i nie wierzy już ani w niepodległość, ani w ojczyznę, ani w sprawiedliwość. „Dla proletarjusza zawsze jest zabór, dla robotnika niema, bracie, ojczyzny, bo on nie ma nawet możności dowiedzenia się, co ona takiego jest". Na uwagę Kamila, że przecież jest szkoła powszechna, gdzie się dowiedzieć może, powie swoje: „trochę go poduczą, bo przecież ten robociarz musi umieć przeczytać obwieszczenie o mobilizacji, albo zawiadomienie o jakimś podatku... i ani rusz dalej — a prócz tego — przed innemi narodami wstyd". Takie pojęcie o życiu i ojczyźnie snują się po głowach knajaków, tak też rozumował Janek i ciągle powtarzał Kamilowi: „ty ze mną kombinuj, to się może wygramolimy", bo inaczej, na dnie proletarjackiego życia będziesz żył „jak pies, o bożym świecie nie wiedząc". Więc kombinowali, jak i co zrobić, aby „było lepiej". Tymczasem życie Kamila było podłe i upływało na wykonywaniu mnóstwa czynności domowych: sprzątanie, noszenie wody, zmywanie naczyń, wyciąganie fastryg z kamizelek, które szyły ciotki. Ciotki w gruncie rzeczy były dobre, ale nędza nieraz zmuszała je do wypominania Kamilowi kawałka chleba, wywoływała wyzwiska i narzekania na „dużego nicponia", „na chłopa", który „jużby mógł się zabrać do jakiej roboty", choć cały „chłop" liczył sobie lat 10. Ale któżby w tym świecie roztkliwiał się nad dzieciństwem. Ojciec, zwolniony z więzienia, wziął był chłopca i nawet oddał go w Zakopanem do gimnazjum, ale to „rajskie życie" trwało bardzo niedługo — ojciec za nowe oszustwa znów poszedł do więzienia, zaś Kamil, jakby zbudzony ze snu, wrócił z Zakopanego do ciotek, do fastryg i kamizelek, do swego talerza zupy z pajdą chleba — i jakby nigdy nic — jakby nigdy stąd się nie ruszał, wyciągnął się na swem dawnem posłaniu, na stole krawieckim, i poczuł, że mimo wszystko w tym ubogim świecie jest u siebie, że nawet bieda tego życia, do którego wrócił, jest jakaś swoja, bliska, znana i... pewna.

Powieść Uniłowskiego napisana szczerze, prosto, zajmująco. Język jędrny, soczysty, lapidarny. Oszczędność jednakże słowa jest chwilami zbyt przesadna, co w rezultacie stwarza styl rąbany i doprowadza do takich np. kojarzeń: „matka chodziła bez grosza na zdartych obcasach", lub coś w tym rodzaju. Pewne zastrzeżenia budzi też ciągła samoanaliza Kamila, niezawsze stojąca na poziomie, odpowiadającym wiekowi chłopca, tak np. po zabawie „w okręty", za które służyły poprzewracane krzesła, chłopcy „czuli się zawstydzeni i przez kilka godzin unikali spojrzenia sobie w oczy". W wieku Kamila i jego towarzysza zabaw (w tym wypadku Antka Gorlickiego) takie zawstydzenie wydaje się nienaturalne, przesadne, jak nienaturalne również się wydaje i nad wiek poważne inne jego odezwanie się, podczas jego krótkiej bytności w gimnazjum zakopiańskiem: „wolę czystą poezję — wszystkie dziecięce idjotyzmy poszły precz"; czy nie za szybka przemiana i czy możliwa w takiem tempie?

Naogół jednak powieść cechuje prostota, naturalność. Czyta się ją z niesłabnącem zainteresowaniem, wyczuwając, jak gdzieś, na dnie odwiecznej niedoli ludzkiej rodzi się świadomość jedności i wspólnoty klasowej; świadomość ta zaczyna się budzić w umysłach takich „filozofów", jak Janek, i idzie poprzez Kamilów, zepchniętych „z innej sfery" na dno życia proletarjackiego, rośnie i potężnieje w swem nieustającem dążeniu do „wygramolenia się".

„Ty, Kamilu, ze mną kombinuj — a może się wygramolimy" — więc wciąż kombinują.

Aż kiedyś — wykombinują.

LOLA SZERESZEWSKA

KRZYWDA

Jakże mi spać po nocach. Cisza w okna krzyczy
I dzwoni mi przez szyby jęk ciemnego miasta.
Z nieba spływają gwiazdy kroplami goryczy,
U progu płacze krzywda. W akordy urasta.

Posłuchaj. Słuchaj sercem. Dokładnie usłyszysz.
Rytmicznie dźwięczą bruki werblem głuchych kro-
[ków.
Asfalt krzyczy bezgłośnie czerwonym afiszem.
Bezmiarem niepokoju dyszy miejski spokój.

Gdzieś zawył pies bezpański. Wlecze nagie żebra.
Kaprawe oczy księżyc przykuwa hypnozą.
Wezbrał przeciągłą skargą. Naraz martwa przerwa.
To cisza jak pies wyje. Szaleństwem i grozą.

Słyszysz szmer? To są cienie. Z bram i z wnęk ka-
[mienic
Odrywają się zcicha. I zcicha się snują.
Nagle w wąwozie ulic kamienne dudnienie.
I krzyk, co zimnym nożem sny najgłębsze pruje.

Czy wiesz, że w takiej chwili ktoś rodzi na bruku?
Pęcznieją ludzkie głosy, to bliżej, to dalej.
Wiążą się w krzyk bez echa i w mózgu się tłuką —
A noc się wielkomiejska jak w malignie pali.

Jakże mi spać po nocach. Wiem, że w takiej chwili
Umiera ktoś samotnie twardym, trudnym zgonem.
Szuka ludzi. A nikt się nad nim nie pochylił.
Szuka gwiazd. A już gwiazdy wszystkie pogaszone.

W WIĘZIENIU

Od samego początku informujemy o losach trojga więźniów łukiskich. Przebywają oni na Łukiszkach w Wilnie już piąty miesiąc. Cała niezależna opinja polska — od socjalistów do katolików — stanęła zdecydowanie w obronie młodych, zdolnych pisarzy, żądając ich uwolnienia. Teraz czas, aby stanowczy głos w tej smutnej sprawie zabrały związki zawodowe literatów. Jerzy Wyszomirski w „Kurjerze Powszechnym" (z dnia 12 września b. r.) uważa, że inicjatywę powinien podjąć Wileński Związek Literatów i Rada Wileńskich Zrzeszeń Artystycznych. Wyszomirski przytacza takie pewniki:

„1. Dembiński, Jędrychowski i Żeromska — przedewszystkiem Dembiński — są wybitnymi publicystami i literatami.

2. Są członkami Polskiej Partji Socjalistycznej.

3. Nie byli dotychczas ani razu karani i oskarżani.

4. Przyczyny aresztowania ich i szczegóły śledztwa trzymane są w tajemnicy.

5. Dembiński jest poważnie chory i przebywa w szpitalu więziennym.

6. Wszyscy troje odznaczają się niezwykłą siłą charakteru, co stanowi w naszych czasach zaletę dość rzadką i powinno być przez opinję publiczną szczególnie wzięte pod uwagę.

7. Katolicka, mocarstwowa i konserwatywna „Polityka" widzi w Dembińskim jedynego człowieka, który mógłby katolicyzm polski „wyprowadzić na szerokie wody twórczego czynu"; sanacyjny i prorządowy „Kurjer Wileński" podziwiał jego nadzwyczajną uczciwość i bezinteresowność jako pisarza i organizatora w swoim czasie wileńskiej młodzieży akademickiej, na którą wywierał wpływ bezwzględnie twórczy i dobroczynny i podnosił też z uznaniem wielkie jego wartości jako człowieka.

8. Rzetelna opinja publiczna nigdy nie traktowała trojga uwięzionych jako komunistów; niektóre tylko pisma, wrogie im z przyczyn raczej osobistych, usiłowały szerzyć tego rodzaju sugestje.

9. W swoim czasie, i nie tak dawno temu, bo jeszcze w roku 1936 i z początkiem r. 1937, uwięzieni cieszyli się opieką i poparciem prasy najbardziej rządowej, jak: „Kurjer Poranny", „Gazeta Polska" i „Kurjer Wileński".

10. Powracają niepokojące pytania: dlaczego, poco, w jakim celu, komu to potrzebne, co się za tem wszystkiem kryje?".

Wyszomirskiego nikt nie może posądzić, że pisze pod wpływem „obcych agentur" i że jest ideowo bliski uwięzionym. Niedawno czytaliśmy jego artykuły w „Gazecie Polskiej". Poprostu zabiera głos jako człowiek uczciwy. Takich ludzi jest w Polsce więcej.

Wszyscy, którzy rozumieją, czem jest pobyt w więzieniu w najgorszych warunkach dla trojga młodych pisarzy i uczonych, powinni domagać się stanowczo ich uwolnienia. W pierwszym rzędzie niech wystąpi Związek Zawodowy Literatów Polskich, niech zabiorą głos związki artystów i pisarzy, niech się wypowiedzą organizacje naukowe.

Nikt nie może się pogodzić z tem, żeby z niewiadomych przyczyn niszczono zdrowie, życie i przyszłość trojga niezwykle utalentowanych ludzi.

K. K.

*

Kazimierz Eckert: Ojcze nasz. Poezje. Lwów, autor 1937; str. 43.

Tego rodzaju „poezje" nie zachwyciłyby chyba nikogo, nawet przed trzydziestu laty. Nie wykazują one pod żadnym względem jakichkolwiek walorów, choćby czysto wtórnych. Jest to jakby młodopolszczyzna, w której pełno wielkich liter i wielkich nonsensów. Forma wierszy przeraźliwie prymitywna, a o ich zawartości treściowej najlepiej pouczają fragmenty:

„Nawet w zbrodniarzu czasem drgnie...
Sumienie...
Cyt... — — "

albo:

„Zgromisz swe szaleństwo — —
Żeś śmiało sobie
Przypomnieć Panieństwo — — "

Władysław Jaworski

KORESPONDENCJA

BIEG BEZ PRZESZKÓD

Do redaktora „Sygnałów“

Z dyskusjami na tematy żydowskie (niezależnie od „istoty“ sporu, nazwy i zasięgu) ma się dziś sprawa tak, jak z modnemi tkaninami na damskie suknie. Na początku sezonu są to modele, sprowadzone z zagranicy, pod koniec lata spóźnione elegantki znajdują je pod halami.

Po dyskusjach w „Wiadomościach Literackich“, „ABC“ i „Gońcu Warszawskim“ ostatnia, w „Kurjerze Porannym“, sprawia wrażenie kramu pod halami (patrz, art. Alfreda Łaszowskiego, p. t. „Kultura kramarska“ w nr. 250), z wybrakowanemi resztkami. To już chyba koniec. I mimo, że sezon w pełni i konjunktura sprzyja, moda zdecydowanie przemija.

„Plon zbierzemy plon“ tych dyskusyj — tradycyjnie, w listopadzie. Tymczasem zaś możemy oczekiwać omówienia sprawy w „Szpilkach“. Już dojrzała do satyry. Wyobraźmy sobie naprzykład konkurs pod hasłem: „Jaką jeszcze dyskusję w sprawie żydowskiej można otworzyć i jak ją nazwać?“. Może nawet Zaruba dorobi ilustracje: brodatych outsiderów i ogolonych maruderów, pędzących do celownika w kształcie żydowskiej brody.

Bo też ta dyskusja staje się coraz bardziej podobna do wyścigu o świadectwo prawomyślności. Sprawia ona wrażenie nieprzytomnego szukania dowodów „błagonadiożnosti“ carskiej. I jak w czasach carskich pojawia się ponure widmo hasła: „Biej żidow, spasaj Rassieju“.

Wszelkie prawidła sportowe, zasady „fair play“ są w tym biegu za nic. Przeszkody etyczne, logiczne — omija się starannie, obchodzi, albo wręcz nie zauważa. Zadziwiające nawet jak uchodzi, w tem środowisku tropicieli, wzajemne zapożyczanie się, okradanie, czy plagjowanie argumentów. Każdy chwyt dozwolony. Byle prędzej, byle przed konkurentem. Bo wprawdzie nietrudno oskarżać, ale niełatwo również do wielu „skonkretyzowanych“ już zarzutów dodać jeszcze dwa, jeden choćby, ale oryginalny.

I tak to jeden zawodnik przez drugiego powtarza znaną piosenkę kompozycji Irzykowskiego o „zagranicznem nowinkarstwie“, o plotkach, o „niewybrednej transplantacji zdobyczy wysortowanych w innych krajach“, o „żargonizacji sztuki“ i wyobraźni, o żydowszczyźnie, jako stylu...

Jeżeli zajmujemy się dziś tym niesamowitym, apokaliptycznym biegiem o brodę żydowską, pod równie znaną melodję, to czynimy to jedynie ze względu na udział w nim Jerzego Zagórskiego, poety z dawnej grupy „Żagarów“ wileńskich. Jego pióra są właśnie wszystkie przytoczone argumenty. (A zdawałoby się, że to Irzykowski śpiewa...).

Do tego młodego outsidera z innych torów trudno stosować miarę właściwą p. Łaszowskiemu. Zresztą dość już o tem nudnem beztalenciu, formalistycznym dłubaczu, który wygrał swoje na antysemityźmie. Zajechał kobyłę, ale wyszedł. Zrobił sobie taką reklamę, że dziś wystarczy sama firma, nazwisko, poszukiwane przez cały alfabet antysemityzmu od **ABC** po **Zet**. Na tym terenie jest zdumiewająco jasny, zrozumiały i żywy.

Ale Zagórski unikał łatwizny, unikał nawet dróg prostych. Jako integralny awangardysta był bezkompromisowy. Czemuż więc z taką łatwością, z tak lekkiem sercem przejął melodję z ust Irzykowskiego i ją niedelikatnie zrzyna? Trudno pogodzić się z myślą, że uczynił to dobrowolnie, że sam zgłosił akces. Chyba go zapędzono do tej ordynarnej roboty. Osaczono i zmuszono.

Bo, upraszczając i uogólniając zjawiska (mimo, że stara się być wnikliwy i głęboki) autor „Ostrza mostu“ zdaje się przekreślać cały swój dotychczasowy dorobek literacki, swoją postawę artystyczną i filozoficzną, którą bezskutecznie przywołuje. Dawny towarzysz Dembińskiego i Jędrychowskiego, ba! członek synodu „Żagarów“, nie odnajduje już drogi powrotnej do „Przyjścia wroga“.

Inicjatorzy dyskusji o kulturze polskiej (w zestawieniu z Żydami, czy bez nich) zapomnieli zdaje się zupełnie o sprawie najistotniejszej, której przecie chcą służyć, o kulturze polskiej. Lekką ręką kanonizowali snobizm chamstwa. Bo zapędzanie do dyskusji poety Zagórskiego wespół z zawodowcami na polu ujadania się ze Słonimskim i „Wiadomościami“, to niebezpieczeństwo dla kultury polskiej stokroć większe, niż „kolportaż poetycki skamandrytów semickiego pochodzenia“. O tem niebezpieczeństwie nie pomyśleli.

A jeżeli Jerzy Zagórski zmienił przekonania w modnym dziś duchu? W takim razie prędko przebył drogę, dzielącą go od „Żagarów“ wileńskich i towarzyszy niedawnej jeszcze przeszłości. Bardzo prędko!

Paweł Koliński

*

D. Sz. Zgierz. Wiersze nie będą drukowane.

A. L. B. Przekłady nie będą drukowane. Są bezwartościowe. Przykład:

„W górze wiszą chmary,
Biały jak śnieg, szare jak śnieg,
Dzień jest biały, las zielony —
I wybucham śmiechem między tym“.

H. H. Warszawa. Dziękujemy za miłe słowa. Wiersze naogół niecenzuralne. Niedopuszczalny jest zwrot: „Gdy ręce się plotą, a usta piersi mrugają“. Należy dużo pracować i czytać. Zasyłamy pozdrowienia.

B. U. Kraków. Wiersz nie do druku.

J. Dol. Warszawa. Zdjęcia nie mogą być reprodukowane. Prosimy o inny artykuł.

M. ż. Tomaszów Maz. Przekład nie będzie drukowany.

St. Br. Kraków. Prosimy o podanie dokładnego adresu.

St. Kl. Warszawa. Artykuł „Powieść o kapitaliźmie polskim sprzed 40 lat“ nie będzie drukowany. Prosimy o inny.

D. M. Lwów. Nadesłany materjał wyzyskamy prawdopodobnie w przyszłości.

E. M. Tarnów. Artykuł „Chłopi i żydzi“ nie będzie drukowany.

W. Kr. Sosnowiec. Dziękujemy serdecznie za życzliwość. Wiersze nie będą drukowane. Prosimy o inny materjał. Zasyłamy pozdrowienia.

H. L. Niechcice. Umieścimy. Za życzenia i miłe słowa serdecznie dziękujemy. Zasyłamy pozdrowienia.

K. M. Zgierz. Prosimy o większy wybór.

Br. W. Łódź. Wiersze nie będą drukowane.

L. R. Lwów. Wiersze nie będą drukowane.

M. N. Łódź. Jeszcze nie do druku. Są pewne błędy, nawet stylistyczne. Warto pracować.

N. G. Warszawa. Umieścimy w jednym z najbliższych numerów. Prosimy o dalszą pamięć.



Budda rys. K. Baraniecki

RODZINNE SPORY

Karol Hubert Roztworowski zgłosił wystąpienie z Polskiej Akademji Literatury. Powodem wystąpienia jest stanowisko Wacława Sieroszewskiego w znanej sprawie arcybiskupa Sapiehy.

Karol Hubert Roztworowski,
każde dziecko w Polsce to wie,
jest Rycerzem Matki Boskiej
i Biskupa na Krakowie.

Więc ostatnio Hubert Karol
aż się zatrząsł w pasji szewskiej,
na Sapiehę bowiem parol
zagiął Wacław Sieroszewski.

Zasię Wacław Sieroszewski,
lewicowy wywrotowiec,
do dziś z mocy kpi niebieskich,
każde dziecię w Polsce to wie.

Huczy Kraków, grzmi Warszawa,
wre z wściekłością oczywistą
spór Karola i Wacława,
katolika z komunistą.

— — — — — — — — —

A tymczasem elementy
wywrotowo niespokojne
przyglądają się tej świętej
w akademji naszej wojnie.

I wyjść trudno im z podziwu,
że się wciąż tak kłócić mogą
ci, co dawno, jako żywo
idą razem jedną drogą.

Gdy się dwu obozów wieszcze
kłócą tak — rzecz nie jest zbożna...
— Dzięki takim kłótniom jeszcze
w Polsce czasem dychać można.

Wiedzą starzy jak i młodzi,
że sam spór już dawno upadł,
gdyż o przeszłość ledwie chodzi
i zaledwie o — biskupa.

— — — — — — — — —

Hubert wadzi się z Wacławem,
Sieroszewski z Roztworowskim,
a my, patrząc na ich sprawę,
wyciągnijmy bystre wnioski...

Cały naród patrzy na to,
z oburzonem patrzy licem
na spór starych literatów,
gdy jest zgoda — w polityce.

Już od lat się odmieniły
polityczne w Polsce role:
narodowcom — przewrót miły,
wywrotowcy — spokój wolą.

Czy więc w tak dziejowej chwili
wolno patrzeć nam bez troski,
by o przeszłość się wadzili
z Sieroszewskim — Roztworowski...

TADEUSZ HOLLENDER

O PEWNEJ SKRYBIE

Jerzemu Pietrkiewiczowi do sztambucha z podziękowaniem za genjalną satyrę w „Podbipięcie".

Pewien żółtodziób z miasta Lipna,
wierszopis raczej podejrzany,
piał, jak spływało słońce z lip na
pagórki polskie i polany.

Tenże zjechawszy do Warszawy
koszlawił zlekka polskie słowo,
lecz pejsaż chociaż był mętnawy
brzmiał Polską i awangardowo.

Tegoż przygarnął na swe łono
zacny redaktor pisma i to
taki, o którym gdzieś mówiono,
że po kądzieli jest semitą.

Więc ów żółtodziób (bardzo hardy)
na terytorjum pewnej szmaty,
według recepty awangardy
piał narodowe poematy.

Wszystko tam było polskie, swojskie,
choć azjatycką brzmiało mową,
więc łąka z narrodowem wojskiem
i z jarzębiną narrrodową.

A ongiś nawet i o Dziadku
pisał żółtodziób pewien, który
zmienił swą linję naostatku
na linję krzywą konjunktury.

Masz rację, chłopcze. „Sto lat". „Sto lat".
Niech żyje narrrodowa gwardja,
bowiem PECUNIA, wiesz, NON OLET
i UBI FORSA, IBI PATRIA.

JERZY KAMIL WEINTRAUB

NIEMIECKA PIOSENKA MARSZOWA

(z Kästnera)

Czwórkami w marszu do wczorajszych koszar
głupota wiedzie wasz bojowy szyk.
Okrzyki wasze wcale nas nie gorszą,
bo cały sens wasz to ten właśnie krzyk.

Idziecie prędko, duch się w was zagrzewa.
Duch już zagrzany, a rozsądek zmarzł.
Nie trzeba mówić, tu się tylko śpiewa;
dlatego w marszu mile mija czas.

Książęta patrzą: wizja sercu droga...
Istnienie wasze to parada nóg.
Kto nie ma w głowie, ten ma zato w nogach:
tak już — i słusznie — świat urządził Bóg.

Nienawiść kochać! wszystko ku niej zmierza.
postawić na niej chcielibyście świat.
W człowieku wiecznie chcecie karmić zwierza,
by raz człowieka zwierz ten wreszcie zjadł.

Na gruzach chcecie ład budować nowy,
kościoły nowe i koszary wznieść.
Chleb b. dynastji fideikomisowy
zwyczajem dawnym macie zamiar jeść.

Wskazówki wstrzymać, kręcić wstecz zegary...
Bieg rzeczy wieczny mocno korci was.
Czas idzie naprzód mimo waszych starań
i tylko zegar zły pokaże czas.

Tak jak marzycie, kraj nasz się nie zbudzi.
I powie kiedyś ktoś spojrzawszy wstecz:
— Budować państwo ręką takich ludzi,
to przecież była niemożliwa rzecz!

SED TAMEN

FRASZKI

SIGNA TEMPORIS

Znak, zew, hufiec i flaga!
Piędź, chram, rubież i szańce...
— Nagan, blaga, bałagan!
A na szańcach — zasrańce.

PANNA NA WYDANIU

Oszczędna, serce złote,
posag, Boga się boi,
słowem — wszystkie ma cnoty,
prócz tej własnej, swojej.

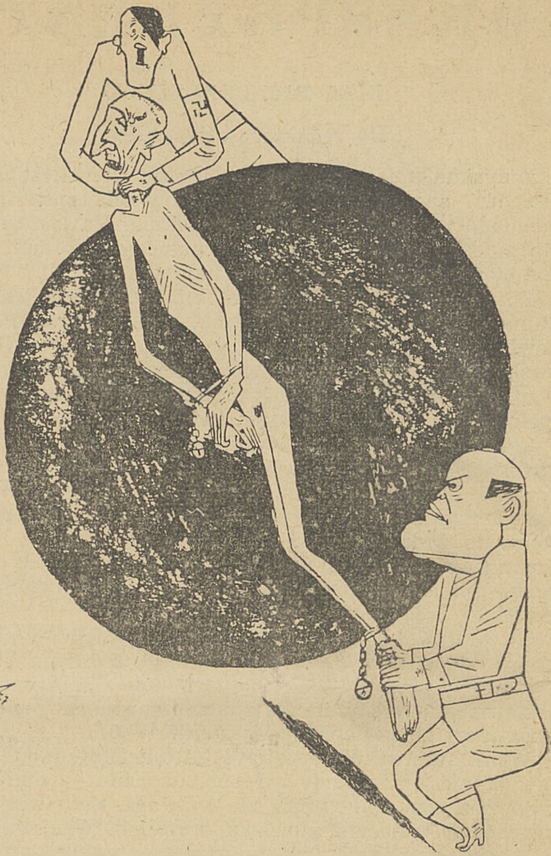
LEWICOWCOWI POSIADAJĄCEMU AUTO

Pan się boi zamieszkać w Berezie,
nie należy czynić tyle gwałtu,
bo przed nami tam pana dowiezie
znacznie szybciej — pańskie własne auto.

„FRANKISTA"

O klęsce Żydów marząc nieustannie
zasługi narodowców bez końca wymienia,
w nienawiści do czerwonej Hiszpanji
jest „frankistą". Nawet z pochodzenia.

TADEUSZ HOLLENDER



rys. J. Bickels

OŚ-sietzky Berlin-Rzym

POWIEDZCIE MI...

Powiedzcie mi, gdzie jest taki kraj —
a jadę tam i nie wracam —
gdzie Kiepura nie śpiewa wciąż: Aj-aj-aj,
gdzie niema „Ikaca"?

Powiedzcie mi, może ktoś słyszał,
gdzie ta incognita terra
bez gwiazdy Smosarskiej, Brodzisza,
piosenek Schlechtera?

Czy nie wie przypadkiem z was żaden
o jakiejś szczęśliwej ziemi,
gdzie nie mógłby wejść taki Kaden
do Akademji?

A może wiadome jest komu,
gdzie leży kraina najlepsza,
co mniej ma... tego ozonu
a więcej powietrza?

Powiedzcie mi! Do tej ojczyzny
jakie zawiodą mnie drogi?
Gdzie więcej jest czystej bielizny
mniej zaś frazeologji?

Gdzie morda pruskiego żandarma
nie wietrzy zbrojnych awantur,
gdzie więcej masła niż armat,
mniej denuncjantów?

Gdzie igrzysk mniej, a więcej chleba
(od parad już w dołku nas mdli),
gdzie kraju ów szukać cię trzeba?
Powiedzcie mi!

O KONFISKACIE PISMA „CZARNO NA BIAŁEM"

Gdy się cenzura weźmie doń z zapałem,
widoki będą aż nazbyt marne.
Zamiast „Czarno na białem"
będzie biało na czarnem.

HYMNY ENDECKIE

Niedawno Rasieji: „Boże caria chrani..."
Dziś „Deutschland über alles..." zawodzą Germanji.

LEON PASTERNAK

LIS I BIUST

(z La Fontaine'a)

Twarze wielkich, to zwykle teatralne maski:
Pospólstwu imponuje świetny zarys czaszki.
Osioł je bada tylko przy pomocy oczu.
Lis przeciwnie, ma zwyczaj nie żałować kroków,
Dociera nieco głębiej: no i kiedy zoczy
Wewnątrz głupoty spokój,
Stosuje pewne słowa. Nasunął mu je raz
Gipsowy biust bohatera.
Był to biust pusty w środku i niezwykle świetny.
Chwaląc ciepło wysiłek rzeźbiarza szlachetny
Rzekł lis: „To piękna głowa, choć mózgu w niej mało".
O ilu naszych wielkich rzecby się to dało.

PIOTR KORZUCH

Redaktor i wydawca: KAROL KURYLUK
Redakcja i administracja:
LWÓW, UL. HAUKE BOSAKA L. 12
codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt,
od godziny 18—19
PRENUMERATA:
roczna 5 zł., półroczna 2.60 zł., kwartalna 1.40 zł.
Konto P. K. O. 503.400, przekaz rozrachunkowy nr. 1.
CENY OGŁOSZEŃ:
1 mm szerokości 1 szpalty w tekście 80 gr., za tekstem 60 gr.

Redaktor odpowiedzialny: TADEUSZ BANAŚ. Z drukarni „POLIGRAFJA", Lwów, Lindego 6.